BIBLIOTEKA PAŃSTWOWA

WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI" 20 września 1969 r. Nr 38 (416)

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

„O DIALEKTYCZNĄ WIĘŹ KULTURY Z ŻYCIEM MATERIALNYM"

Przed paroma dniami odbyła się w Rzeszowie doroczna inauguracja roku kulturalno - oświatowego; inauguracja tym bardziej uroczysta, że niesie za nami wielki bagaż doświadczeń ćwierćwiecza w osiągnięciach kulturalnych województwa rzeszowskiego. To doroczne wydarzenie zawsze daje okazję do podsumowań i bilansów; bywa, że jednego roku lista potrzeb przekracza listę osiągnięć i wtedy albo rozdęte są potrzeby, albo też chłonność dóbr kulturalnych przerasta nasze możliwości realizacyjne; bywa jednak najczęściej powodem do refleksji, jak wielkie zmiany mamy za sobą w psychice ludzkiej, jak wielki skok poczyniła jedna z najsmutniejszych pustyń Polski międzywojennej do dnia dzisiejszego. Taka najsposobniejszą chwilą do czynienia bilansu i obejrzenia się wstecz zawsze są rocznice, jak choćby obecna — srebrne gody PRL a wraz z nią i województwa.

Niezależnie od powodów do dumy nowy rok kulturalny zatrzymał dłużej swoich działaczy przy problemie naczelnym dla województwa: przy formowaniu się nowego typu odbiorcy kultury chłopie - robotniku. I temu problemowi starano się wyjść naprzeciw, szukając równowagi między zapotrzebowaniem na działalność kulturalną w tym środowisku a skąpymi formami metod pracy jemu przeznaczonymi.

Bo też to środowisko nie należy do najłatwiejszych. Mieszkając na wsi, pracując w mieście, zarabiając często wiele, chłop z pochodzenia, robotnik z zawodu zawsze się mieści pośrodku dwóch środowisk w swoich przyzwyczajeniach. Jest poza tym typem odbiorcy kultury, który na kulturę nie przywykł przeznaczać zbyt wiele czasu, któremu z kulturą kojarzy się bardziej niewymyślna rozrywka, aniżeli próba przebudowywania przyzwyczajeń. Obserwujemy te rzesze śpieszących do pociągów ludzi; płonie w ich oczach niecierpliwość dorwania się do własnej przyzagrodowej morgi, obory, chlewu i całej tej zasadniczej reszty życia, która pozostała w miejscu zamieszkania. Chłop — robotnik jest człowiekiem często pracującym ponad przeciętną wydolność, traktującym pracę w mieście jako element ulepszający gospodarstwo. Wieś rzeszowska znajduje się w czołówce wsi o wysokim standardzie życiowym; wieś rzeszowska liczy jednak tysiące ludzi nie znających wypoczynku, setki ludzi nie korzystających z zaplecza kulturalnego. I nie jest to li tylko winą tego zaplecza czy też rzeszy ludzi dzielących czas pomiędzy wieś i miasto, struktura modelu ekonomicznego domaga się po prostu korelacji z formami pracy kulturalnej.

Sekretarz KW PZPR — Stanisław Ryba podzielił się z działaczami kultury, licznie zgromadzonymi na inauguracyjnej uroczystości niepokojem władz partyjnych nad zaostrzającym się problemem korzystania z dóbr kultury chłopa - robotnika. Dlatego więc istnieje realna potrzeba uczynienia z poradni kulturalno - oświatowych centrów programujących organizację działalności w skali powiatu, dlatego rady narodowe i związki zawodowe winny w większym stopniu wykorzystać współpracę z klubami „Ruchu", wiejskimi świetlicami, dlatego zakłady pracy dysponują wielką szansą penetracji środowiska swoich pracowników a tym samym oddziaływania na nie, dlatego wreszcie zwiększa się konieczność umocnienia wiodącej roli rad narodowych.

Idzie bowiem o jedność kulturalnego działania; o odbiorce aktywnego, który byłby widomym dowodem, że równocześnie z awansem ekonomicznym środowiska następuje awans kultury społeczeństwa.

25-lecie PRL prowokuje potrzebę zatrzymania się w długim marszu, spojrzenia wstecz i zastanowienia się nad jakością kultury, którą to 25-lecie stworzyło. Powyższa myśl o jakości kultury, którą rozwinął w swoim expose kierownik Wydziału Kultury KC — Wincenty Kraśko, obecny na inauguracji roku kulturalno - oświatowego w Rzeszowie, staje się hasłem do poszukiwania nowych form działalności i staje się celem samym w sobie. Bowiem na jakość kultury składa się całość działania ludzkiego, a więc kultura życia, pracy, intelektu, działalności politycznej i artystycznej. Kulturę tworzą nie tylko pisarze, dziennikarze, plastycy, filmowcy — ale każdy człowiek, który buduje kulturę materialną; tworzą ją ci, którzy zbudowali drogi, zelektryfikowali wsie, zbudowali zaporę w Solinie, którzy dali poprzez światło i energię własną cząstkę dobrobytu krajowi.

Prof. Chałasiński powiedział kiedyś pięknie, że lud w Polsce Ludowej awansował do godności narodu i przypomnienie właśnie jego słów na inauguracji roku kulturalno - oświatowego nabiera szczególnego znaczenia, gdy rozważymy dalszą część tego twierdzenia, że kultura i sztuka stały się własnością każdego, że ta oczywista każdemu prawda — to pół prawdy dopiero, bowiem druga jej połowa mieści się w dopełnieniu, że lud jest nie tylko właścicielem, ale współtwórcą kultury. Dialektyczna więź kultury z życiem materialnym, którą można przetłumaczyć na zupełnie proste — lepiej pracować i lepiej żyć — oto zadanie postawione przed 3-tysiącami rzeszowskich pracowników kultury oraz przed wieloma tysiącami ludzi, którym sprawy kultury nie są obojętne.

Bo, jak oświadczył prezes Przeworskiego Towarzystwa Regionalnego — dr Jankowski — przemiany w psychice zdewaluowały romantyczny patriotyzm przeszłości, czyli działanie iluzoryczne; otwierając jednak wrota działaniu realnemu przejęły zeń wszakże żarliwość, wytrzymałość, zapał — czyli to wszystko, co jest cechą człowieka kulturalnego i bez czego mowy być nie może o kontynuacji kultury.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

100 LAT 20-LATCE I MY ŻYCZYMY „WIDNOKRĄG"

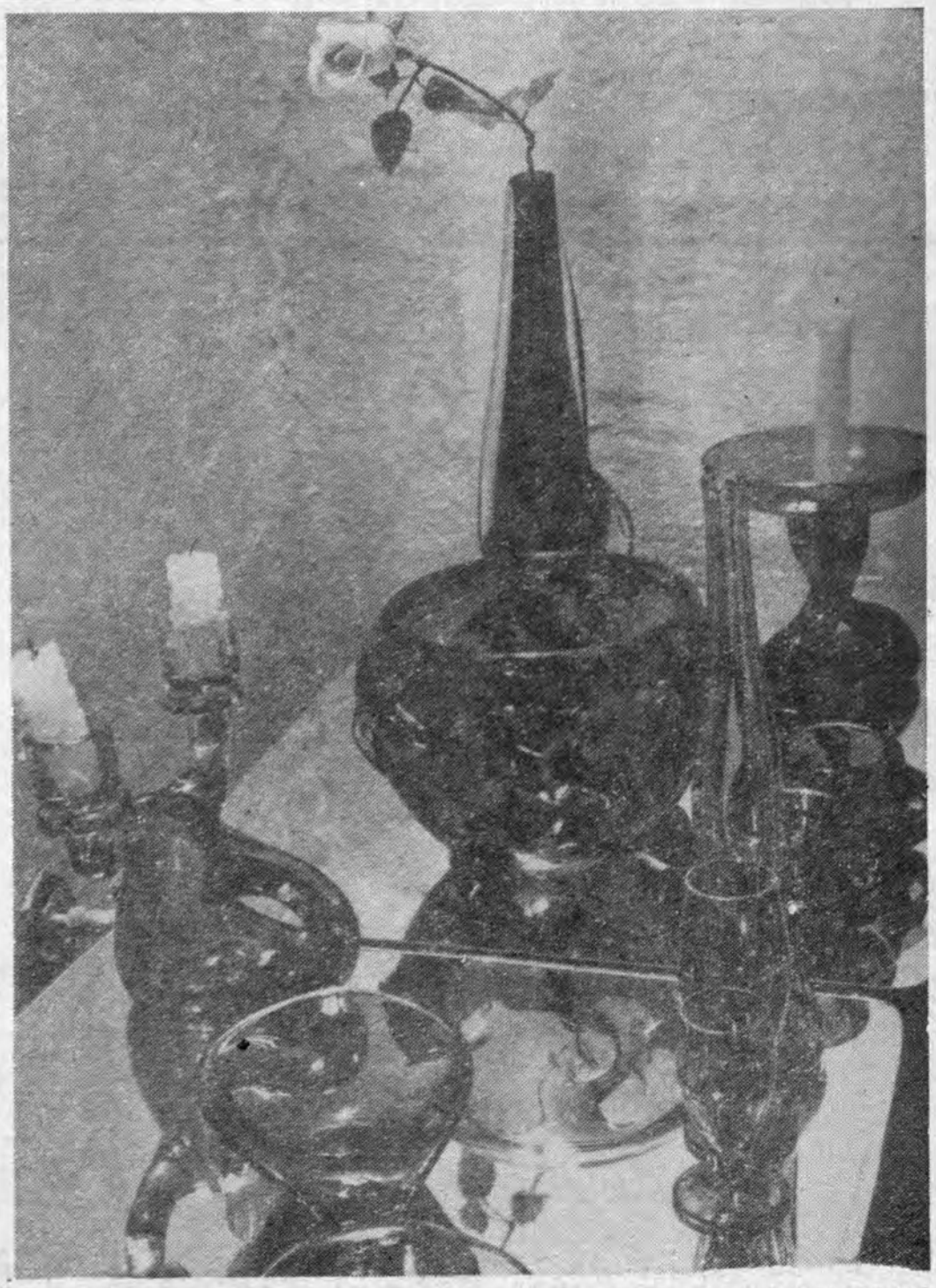

Fot. CAF A. ŁOKAJ

„WILNA UKRAINA"

o występach Teatru im. W. Siemaszkowej w RZESZOWIE

Jak już informowaliśmy, obydwa przedstawienia Teatru im. Wandy Siemaszkowej — „Jadzia wdowa" i „Hamlet" podczas gościnnych występów w dniach 5—9 bm. spotkały się z serdecznym przyjęciem ze strony lwowskiej publiczności, zostały również bardzo pozytywnie ocenione przez krytykę. Oto charakterystyczne fragmenty recenzji, jaką zamieściła lwowska „Wilna Ukraina":

SUKCES POLSKICH AKTORÓW NA LWOWSKIEJ SCENIE.

„Gościnne występy teatru rzeszowskiego przyjęto entuzjastycznie. Lwowskim widzom, znającym mistrzowskie występy przyjaciół (byli u nas już kilka razy) i teraz podobał się realistyczny styl gry rzeszowskiego zespołu. Tym razem mieli możność ocenić na scenie Teatru im. M. Zańkowieckiej przedstawienie komedii Ryszarda Ruszkowskiego „Jadzia wdowa" w adaptacji scenicznej Juliana Tuwima. Reżyser tego wesołego wodewilu Stanisław Bieliński, który sam grał Felikksa, odtworzył postać sprytnego uwodziciela (...) Z wielkim temperamentem i ujmującym wdziękiem odegrała rolę Jadwigi Danuta Markiewicz. Dojrzałe aktorskie walory i poczucie humoru zademonstrowali także: Urszula Nowacka — Melania, Tadeusz Olesiński — Bolesław, Adam Fornal — lokaj Józef i inni.

W wykonaniu gości zobaczyliśmy również arcydzieło dramaturgii światowej — tragedię W. Szekspira „Hamlet". Te dwie różniące się gatunkiem sztuki świadczą o twórczych możliwościach zespołu, o jego skali. Polscy artyści pięknie wywiązali się z tego zadania. Oryginalna interpretacja, jaką zaproponował Stanisław Bieliński — na nowo odkryła Szekspira... Uwspółcześniony Hamlet nawiązał kontakt z publicznością. Entuzjastycznymi oklaskami nagrodzono Bogdana Kiziukiewicza (Hamlet), Zdzisława Kozienia (Król), Anielę Świderską (Królowa) oraz pozostałych wykonawców. To przedstawienie udało się, zyskało wysoką ocenę ze strony wymagającego lwowskiego widza".

Emilian Bliźniak

WSPOMNIENIA WĘGIERSKIEGO NAUCZYCIELA

Węgierska Republika Ludowa — kraj, który turyści z Polski odwiedzają masowo. Można naszych rodaków pojedynczo lub w całych gromadach wycieczkowych spotkać w Budapeszcie, nad Balatonem, w Miskolc, Szekesfehervar, Eger, Szeged, czy Esztergom. Nie dziwię się wcale, kraj wprawdzie mały, ale niezmiernie uroczy i ciekawy pod każdym względem. Piękno pejzażu, piękno zabytków w dodatku serdeczna wprost gościnność gospodarzy ściąga tu turystów nie tylko z Polski, ale z wielu innych państw Europy.

Budapeszt

Jedno z najpiękniejszych miast Europy, jest głównym ośrodkiem życia gospodarczego, kulturalnego i handlowego Węgier. Nic więc dziwnego, że to prawie 2 milionowe miasto leży na szlakach turystycznych wszystkich wycieczek zagranicznych. Dzięki swoim przeróżnym atrakcjom, zabytkom i pięknemu naddunajskiemu położeniu ściąga prawie o każdej porze roku turystów niemal z całej Europy, m. in. z Polski, którzy najczęściej zaczynają zwiedzanie tego pięknego kraju właśnie od Budapesztu. Ja rozpocząłem zwiedzanie Budapesztu od Wyspy Małgorzaty (Margit — sziget). Ponoć miała tu spędzić niemal całe swoje życie w klasztornych murach córka Beli IV — królewna Małgorzata, stąd nazwa tej wyspy Margit — sziget.

Spotkanie na Wyspie Małgorzaty (Margit - sziget)

Lubiłem tu przychodzić codziennie wieczorem podczas mojego pobytu w Budapeszcie.

Wyspa Małgorzaty ze swoimi wszystkimi urządzeniami rekreacyjno-rozrywkowymi stanowiła dla mnie świetny relaks. Siedziałem któregoś wieczoru w parkowej restauracji nad lampką doskonałego węgierskiego Tokaju, przy sąsiednich stolikach również Polacy, o ile sobie przypominam wycieczka z Wrocławia, która tam właśnie jadła kolację. Rozmawialiśmy po polsku, gdy oto w pewnym momencie podszedł do jednego ze stolików zajmowanych przez uczestników wycieczki siwy, dystyngowany ale krewki jeszcze staruszek, który łamaną, ale zrozumiałą polszczyzną zapytał czy jest ktoś z Rzeszowa. I tak zaczęła się moja znajomość z Istvanem Szilagyi, emerytowanym nauczycielem spod Kecskemet, który w tym czasie przebywał w Budapeszcie w jednym z tamtejszych uzdrowisk (w 123 punktach Budapesztu występują źródła mineralne, z czego połowa o temperaturze ponad 30 st.). Było to lecznicze kąpielisko leżące niedaleko mostu Małgorzaty (Margit — sziget), jedno z najbardziej starych i zabytkowych kąpielisk leczniczych Budapesztu, wybudowane przez sułtana tureckiego Sulimana. Od tej pory spotykaliśmy się aż do mojego wyjazdu. Istvan Szilagyi czuł do Rzeszowa szczególny sentyment. Tu spędził kilka lat dzieciństwa jako syn węgierskiego oficera. Po raz ostatni był w Rzeszowie w 1913 roku przed wybuchem I wojny jako działacz Magyar-Lengyel Egyesullet — Klubu Węgiersko-Polskiego w Budapeszcie. Wchodził wtedy w skład 40-osobowej delegacji zaproszonej na uroczystości 50-lecia wybuchu powstania styczniowego i 50 rocznicy śmierci Marcina Borelowskiego, który jako naczelnik wojenny woj. podlaskiego zginął 7 IX 1863 roku w bitwie pod Batorzem. Wraz z Borelowskim zginął wtedy żołnierz węgierski Nyaryi, krewny ówczesnego prezesa Klubu Węgiersko-Polskiego barona Alberta Nyariego. Na jedno z takich spotkań p. Szilagyi przyniósł pożółkły już i mocno zniszczony egzemplarz starej węgierskiej gazety „Szepesi Hirnok", w której czytamy: „Kilka dni przeleciało od czasu jak minęły uroczystości z okazji 50-lecia powstania polskiego w Rzeszowie, na którą to uroczystość także i nas nasi bracia Polacy zaprosili... W pochodzie umieszczono nas na pierwszym miejscu i wszędzie znaleźliśmy największą galanterię i życzliwość"...

Oczywiście p. Szilagyi pamiętał jeszcze ten Rzeszów sprzed pół wieku, ten powiatowy obraz Rzeszowa uzupełniłem opowiadaniem o osiągnięciach i awansie współczesnego Rzeszowa.

Czardasza czar

Pan Szilagyi lubił również bardzo muzykę, szczególnie muzykę cygańską i węgierską muzykę ludową. Właśnie w czasie jednego z takich spotkań zostałem zaproszony na kolację do restauracji leżącej niedaleko placu Józefa Bema, gdzie bawiącym się do późnej nocy gościom przygrywa do tańca cygańska orkiestra. Muzyka cygańska — mówił do mnie p. Szilagyi — działa niezwykle kojąco na mój chory organizm, subtelnie oddaje nastrój liryczny duszy cygańskiej i umie w swoisty sposób trafić do duszy słuchacza, szczególnie muzyka Cyganów węgierskich. I tu wymienił mi całą plejadę znakomitych cygańskich skrzypków węgierskich, jak Bihary, Danko Radics, Csermak, Kiss Bela, Tibor Dometer, Imre Magyary czy też Kolompar Laci. Jakież było moje miłe rozczarowanie, gdy w repertuarze cygańskiej orkiestry obok ognistych czardaszy i smętnych, lirycznych melodii cygańskich znalazło się polskie „Szła dziewczyna do laseczka".

„Z muzyki poważnej najbardziej lubię Liszta — powiedział mi na pożegnanie tego wieczoru p. Szilagyi — gdyż Liszt ze wszystkich kompozytorów najbardziej jest bliski muzyce cygańskiej, szczególnie w swoich rapsodiach"

Polacy na Węgrzech i w Budapeszcie

Pan Istvan Szilagyi to nie tylko przyjaciel Polski i Polaków, ale również doskonały znawca historii polskiej emigracji na Węgrzech. Jako działacz Klubu Węgiersko-Polskiego w Budapeszcie interesował się problematyką Polonii Węgierskiej. Od niego właśnie dowiedziałem się że osada polska nad Balatonem zwana przez Węgrów Lengyelfalu, przez miejscowych Polaków nazywana była Duklówka. Miała ona być założona prawdopodobnie przez jakiegoś szlachcica Pulskiego, który miał tam w XIX wieku przesiedlić swoich poddanych z okolic Dukli. Jak mi wyjaśnił p. Szilagyi druga połowa XIX wieku była okresem, kiedy to na Węgry przybyła pierwsza fala polskiej emigracji, głównie z Galicji w poszukiwaniu pracy. Większość ówczesnych polskich emigrantów pochodziła z Podkarpacia i Rzeszowszczyzny. Główne ich skupiska można było spotkać w Budapeszcie, Salgotarjan, Rudabanya, Banhida, Dorog i Tatabanya. Przed II wojną światową mieszkało na terenie Węgier około 15 tys. Polaków. W 1939 r. i w czasie trwania wojny uciekały z Polski do Węgier duże ilości ludności cywilnej i wojskowej. Większość z nich opuściła Węgry i wstąpiła do polskich formacji wojskowych we Francji. Obecnie mieszka na terenie Węgier około 2 tysiące Polaków. Największa polska kolonia istnieje nadal w Budapeszcie, Tatabanya i Komaron. Mimo małej liczebności Polonia na Węgrzech jest dość żywotna o czym świadczy chociażby działalność Polskiego Towarzystwa Kulturalnego im. Bema, które w tym roku w styczniu obchodzi 10-lecie swojego istnienia i działalności.

W Szekesfehervar

Szekesfehervar jedyne miasto na Węgrzech, do którego wyjeżdżałem podczas pobytu w Budapeszcie. To jedno z najstarszych miast Węgier posiada niezwykle bogatą historię. Stara rzymska osada Herculia staje się w IX wieku terenem osadnictwa słowiańskiego, stąd później słowiańska nazwa miasta — Białogród Królewski. Od końca IX wieku pod panowaniem Węgrów i stolica ich państwa aż do wieku XIII. Tu znajdują się również groby królewskie dynastii Arpadów. Chciałem więc koniecznie zobaczyć dawną stolicę Węgier i jej zabytki. Zwłaszcza, że z folderu turystycznego „Budapeszt — Velencei — To — Szekesfehervar", dowiedziałem się, iż w starej królewskiej katedrze w jednym z sarkofagów spoczywają prochy córki Zygmunta Starego Izabelli Jagiellonki, żony króla Węgier Jana Zapolyi. Sarkofag królowej Izabelli córki Bony i Zygmunta Starego interesował mnie o tyle, że przecież Izabella przez okres swego wygnania była panią na Sanoku.. Otóż po śmierci Jana Zapolyi Izabella została wygnana z Węgier do Polski przez Castyldę, wodza wojsk cesarskich, w związku z pretensjami, jakie rościł sobie do korony węgierskiej mąż Anny Jagiellonki Ferdynand I w myśl traktatu wiedeńskiego z 1515 r. Izabella na okres swojego wygnania otrzymała od brata Zygmunta Augusta jako swoje uposażenie m. in. Sanok. W 1556 r. Izabella ponownie wróciła na tron węgierski.

Zapadał już zmierzch, gdy opuszczałem tą starą, tchnącą uroczystym majestatem katedrę, jeszcze ostatnie spojrzenie na sarkofag Izabelli i skierowałem się do wyjścia. Powoli szedłem w kierunku dworca. Na Szekesfehervar spływał letni, błękitny, ciepły wieczór. Późno już było gdy wróciłem do Budapesztu. Stolica jeszcze nie spała, ale tętniła normalnym wieczorowym życiem. Pana Szilagyi spotkałem dopiero na drugi dzień, na dworcu kolejowym Nyugati, przyszedł mnie właśnie pożegnać, gdyż wracałem już do Polski, do Rzeszowa, który na pożegnanie kazał mi p. Szilagyi serdecznie pozdrowić.

EMILIAN BLIŹNIAK

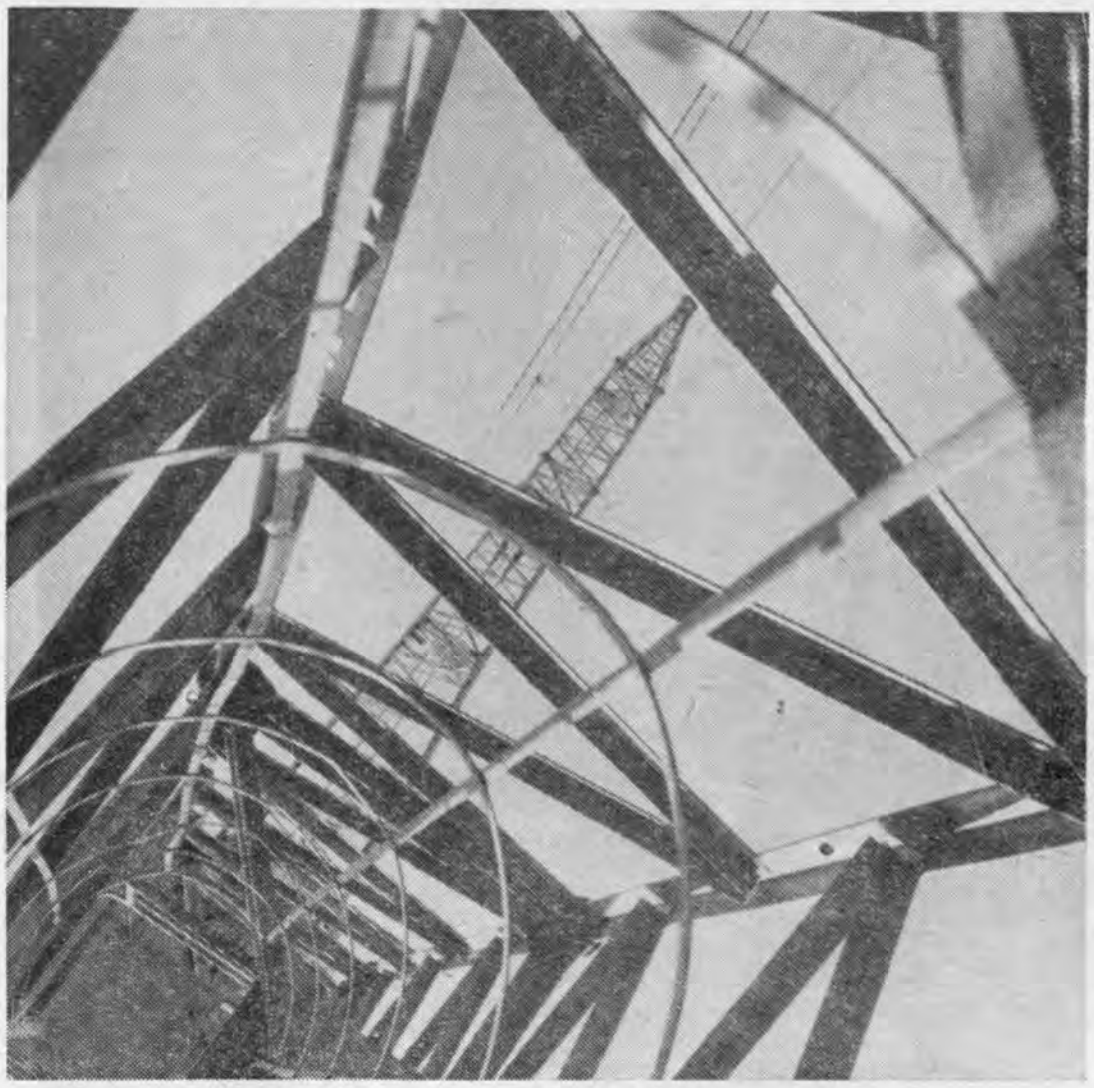

STALOWA KONSTRUKCJA *Fot. A. ŁOKAJ*

Zdzisław Kozioł

ROBOTNIK Z CENZUSEM

NIEUSTAJĄCA REFORMA

Wielka reforma, obejmująca szkolnictwo wszystkich typów i szczebli, dobiega już końca; w tym roku według nowych programów uczyć się będzie młodzież w trzecich klasach liceów ogólnokształcących. Zanim o szczegółach, warto poczynić parę uwag o charakterze ogólnym. Reformę szkolną przeżywają właściwie wszystkie kraje socjalistyczne, a w niejednym państwie kapitalistycznym postulaty dotyczące zmian systemu oświaty należą do nader ważkich haseł politycznych i społecznych, wysuwanych zazwyczaj przez postępową opozycję.

Mimo specyfiki poszczególnych krajów można wskazać na dwie dominujące tendencje. Chodzi o zbliżenie szkolnictwa do potrzeb praktyki, co wiąże się głównie z rozwojem gospodarczym, z postępem techniki; stąd tak duże znaczenie przywiązuje się do szkolnictwa zawodowego, zwłaszcza technicznego. Czy oznacza to, jak wielu mniema, degradację wykształcenia ogólnego? Problem złożony, ale pamiętając o wspomnianej wyżej tendencji, trzeba podkreślić inną prawidłowość, a mianowicie — im dłuższy okres kształcenia ogólnego, tym mniej potrzeba czasu na kształcenie zawodowe.

Chyba nie należy mówić o degradacji wykształcenia ogólnego, lecz o wzrastającym znaczeniu wykształcenia zawodowego. Jeśli zaś chodzi o wiedzę ogólną, to jest ona nie tylko ważna z punktu widzenia ewentualnej oszczędności w okresie uczenia zawodu — wykształcenie ogólne, humanistyczne jest konieczne społeczeństwom epoki cywilizacji technicznej, ale to już zagadnienie natury raczej filozoficznej, które pominę, bo chodzi mi o sprawy jak najbardziej praktyczne.

Znaczenie wykształcenia ogólnego jest nadal doceniane, a dowodem na to niech będzie chociażby przedłużanie obowiązku szkolnego, przy czym nasza 8-letnia szkoła podstawowa nie pobiła rekordu — w niektórych krajach, można nawet powiedzieć, że w krajach słabiej gospodarczo i społecznie rozwiniętych niż Polska, wprowadzono już 9-letnie obowiązkowe nauczanie. W programach nauczania tych szkół, a także w programach średnich szkół ogólnych, w coraz większym zakresie uwzględnia się treści ważne z punktu widzenia przygotowania do przyszłej pracy zawodowej.

Nie najważniejszy jest więc spór o prymat wiedzy ogólnej czy zawodowej, bo jakże często te dyskusje przeradzają się w dyskryminowanie pewnych typów szkół, trzeba natomiast podkreślić generalną tendencję — współczesne szkolnictwo stara się, jeśli można użyć takiego określenia, wyposażyć swoich absolwentów w jak największy zasób wiedzy. Problemy praktyczne, w tym także proporcje czasu przeznaczanego na poszczególne przedmioty, rozstrzygane są często drogą eksperymentów pedagogicznych.

Eksperymenty dotyczą także łączenia wykształcenia ogólnego z nauką zawodu. Inicjatywy w tym kierunku przejawiano od paru lat: chodziło o to, by absolwentom, którzy nie podejmą studiów wyższych, ułatwić start życiowy, umożliwić szybkie rozpoczęcie pracy zawodowej. Eksperymenty te raczej miały więcej przeciwników niż zwolenników, gdyż dominowało przekonanie, że licea ogólnokształcące mają przede wszystkim przygotowywać do studiów. Nie wszyscy absolwenci podejmują studia: dla tych pozostałych utworzono szkoły pomaturalne, które przygotowują do zawodu. Jest to jednak dosyć długa droga prowadząca do usamodzielnienia się: 8 lat szkoły podstawowej, 4 lata liceum i 2 lata szkoły pomaturalnej, razem 14 lat nauki, by zostać technikiem czy ekonomistą. Dla wielu podjęcie nauki w liceum ogólnokształcącym jest dużym ryzykiem, gdyż w wypadku niepodjęcia studiów nikłe są szanse na szybkie usamodzielnienie się; stąd w pewnych środowiskach nie cieszą się one popularnością.

Zreformowane liceum ogólnokształcące też ma przygotowywać do studiów; wprowadzone zmiany dla jednych urealniają szanse kontynuowania nauki na poziomie wyższym, innym zaś umożliwiają wcześniejsze podjęcie pracy zawodowej. W szkołach tych, przy obowiązującej nadal jednolitości organizacyjno-programowej, kuratoria okręgów szkolnych zezwalają na prowadzenie klas z rozszerzonym programem nauczania poszczególnych przedmiotów. Od kilku lat w rozszerzonym zakresie uczono matematyki i języków obcych, co okazało się przydatne tym, którzy wybrali te właśnie kierunki studiów; z reguły zdawali lepiej egzaminy wstępne niż pozostali kandydaci, uczący się tych przedmiotów w normalnym wymiarze.

Teraz władze szkolne zezwalają na wprowadzanie klas z rozszerzonym programem fizyki, geografii, biologii i języka polskiego. Pełne zróżnicowanie kształcenia w liceach ogólnokształcących nastąpi dopiero w przyszłym roku szkolnym, gdy klasy czwarte rozpoczną realizację programów zajęć fakultatywnych w 5 grupach kierunkowych oraz w grupie przysposobienia zawodowego. Przysposobienie zawodowe ma przyczynić się do rozwiązania problemu tych absolwentów, którzy studiów nie podejmą. Czy jednak rzeczywiście zdobędą w liceum kwalifikacje i w ogóle, czy liceum ogólnokształcące ma być szkołą dającą zawód?

Zdaniem stołecznych władz oświatowych, mogą istnieć licea ogólnokształcące, które też uczą zawodu. Z nowym rokiem szkolnym wprowadzono w Warszawie eksperymentalne klasy pierwsze z rozszerzonym programem przysposobienia zawodowego; licea te wypuszczą absolwentów nie tylko ze świadectwem dojrzałości, lecz także przygotowanych do podjęcia pracy zawodowej. Tak więc eksperymentalne licea warszawskie kształcą przyszłych pracowników administracyjno-biurowych, sprzedawców artykułów przemysłowych oraz mechaników maszyn biurowych.

W szkołach tych dokonano odpowiednich zmian w programie nauczania; zachowując w pełni przedmioty ogólnokształcące zrezygnowano m. in. z wychowania technicznego i plastycznego, inne zaś przedmioty poszerzono o treści zawodowe. I tak np. przyszli sprzedawcy artykułów przemysłowych uczą się matematyki z arytmetyką gospodarczą, fizyki z elektroniką itp. Słowem, warszawski eksperyment zmierza do kształcenia robotnika z cenzusem, z maturą, który, jeśli zechce, może też podjąć studia wyższe, stacjonarne lub zaoczne.

Warszawskie władze szkolne od paru lat występują z ciekawymi inicjatywami, z których już niejedna zdała praktyczny egzamin. Czy praktyka potwierdzi słuszność i tego eksperymentu? Zdania są podzielone: wielu wręcz szokuje to, że licea ogólnokształcące przygotowują do pracy w konkretnym zawodzie, twierdzą, że jeśli już potrzeba robotników z cenzusem, to należy tworzyć odpowiednie szkoły zawodowe.

Podobno mają powstać średnie szkoły zawodowe (nazwy dla nich jeszcze nie wymyślono), których absolwenci wraz z maturą mają uzyskać dyplom robotnika kwalifikowanego. Inaczej mówiąc, będą to obecne zasadnicze szkoły zawodowe (one teraz kształcą robotników kwalifikowanych) podniesione do rangi średnich; zwiększony materiał wymagać będzie dłuższego okresu nauki. Szkoły te mają istnieć równolegle z technikami i liceami zawodowymi. I tak np. średnia zawodowa szkoła ekonomiczna i liceum ekonomiczne będzie się tym różnić, że pierwsza wypuści fachowca na poziomie robotnika kwalifikowanego z cenzusem, druga zaś z tytułem ekonomisty. Oficjalnie nie podano jeszcze bliższych szczegółów, ale słyszałem już opinie krytyczne wobec tego zamiaru.

Nawiasem mówiąc, nie jest to pomysł nowy, takie szkoły spotykałem już za granicą; w technikach podejmują naukę zdolniejsi i ci, którym udało się zdobyć w nich miejsce, bo technika są szkołami raczej ekskluzywnymi. Ci, dla których zabrakło miejsc w technikach idą właśnie do średnich szkół zawodowych, kształcących robotników. Mniej zdolni lub ci, którym zależy na szybkim zdobyciu zawodu i usamodzielnieniu się, podejmują naukę w szkołach, będących odpowiednikami naszych zasadniczych zawodowych.

To, o czym skrótowo napisałem powyżej, ukazuje na nieco szerszym tle warszawski eksperyment. Nie wnikając w zalety czy ewentualne wady poszczególnych rozwiązań, trzeba wskazać na kolejną tendencję we współczesnym szkolnictwie — dąży się do upowszechnienia pełnej średniej szkoły. Czy to ma być szkoła zawodowa dająca maturę czy liceum ogólnokształcące, które uczy też zawodu, to już sprawy drugorzędne (chociaż niewątpliwie bardzo ważne) wobec tendencji do upowszechnienia pełnego szkolnictwa średniego. Chodzi o to, że współczesna gospodarka wymaga coraz lepiej, w sensie specjalizacji i wiedzy ogólnej, przygotowanych pracowników, w tym także robotników. To jest aksjomatem. Wszechstronniej wykształcony obywatel jest i społecznie aktywniejszy. Tej tezy też nie potrzeba uzasadniać. Wydaje mi się jednak, że niebagatelną rolę odgrywają względy, przynajmniej w wielu środowiskach, ambicjonalne, choć może trafniej byłoby mówić o snobiźmie.

Myślę o tych rodzicach, którzy bez względu na zainteresowania i uzdolnienia swych dzieci, posyłają je do szkoły w danym środowisku uchodzącej za atrakcyjną, może ekskluzywną. Zaoferowanie innej szkoły uważają za dyshonor, nie dla dziecka, dla siebie. O sprawach tych pisałem już wielokrotnie, więc poprzestanę na tych uwagach. Powiem jeszcze, że z wymienionych wyżej względów warszawskie licea uczące zawodu na poziomie robotnika kwalifikowanego będą się cieszyć większą popularnością niż średnie szkoły zawodowe kształcące robotników kwalifikowanych z maturą.

Powróćmy jednak do meritum zagadnienia. Mówiłem, że warszawskie władze szkolne od lat występują z licznymi inicjatywami dydaktycznymi, wychowawczymi i organizacyjnymi. Umieją też popularyzować swoje przedsięwzięcia. Kurator stołeczny często odwołuje się do pomocy prasy: sam pisze, występuje na konferencjach prasowych, podczas których przekonywuje o swoich racjach, dyskutuje, prowokuje do dyskusji. Pisze o tym dlatego, że i poza stolicą wielu ludzi dostrzega słabe strony naszego systemu oświaty, podejmują wysiłki zmierzające do zmian, inicjują eksperymenty, często borykają się z licznymi trudnościami, napotykają opór konserwatystów (w naszych warunkach może słuszniejszym byłoby określenie — tradycjonalistów), ale nie odwołują się do opinii publicznej, nie popularyzują swoich przedsięwzięć.

Pisząc te uwagi mam m. in. na uwadze kuratora rzeszowskiego okręgu szkolnego, mgr Kazimierza Żmudkę. Słyszałem od niego wiele ciekawych propozycji dotyczących węzłowych zagadnień szkolnictwa, propozycji godnych publicznych dyskusji, w prasie, radiu, telewizji. Ostatnio np., rozmawiając z kuratorem Żmudką o szkołach kształcących robotników z maturą, usłyszałem ciekawe uwagi dotyczące skutków upowszechnienia wykształcenia ponadpodstawowego. Ma też swoją koncepcję rozwiązania problemu kształcenia ponadpodstawowego. Jego zdaniem należałoby wprowadzić obowiązkową dwuletnią szkołę zawodową dla wszystkich absolwentów szkoły podstawowej. Oznaczałoby to 10-letnie nauczanie obowiązkowe, dzięki czemu każdy zdobyłby zawód mając 17 lat. Dopiero po tym obowiązkowym cyklu nauczania nastąpiłoby selekcjonowanie młodzieży: kto do pracy, a kto do szkół średnich, ogólnokształcących lub zawodowych.

Zdaniem kuratora Żmudki rozwiązałoby to wiele problemów, przezwyciężyłoby liczne słabości obecnego systemu oświaty. Po 10 latach nauki, mając już przygotowanie zawodowe, można właściwie bez ryzyka pomyłki wybrać kierunek dalszego kształcenia; byłby rozładowany sztuczny tłok przed niektórymi szkołami średnimi; niepotrzebne byłyby szkoły pomaturalne, bo każdy ma zawód. Nie wymieniłem wszystkich zalet, o których mówił mi kurator Żmudka; sądzę, że najlepiej będzie jeśli sam wyłoży swoją koncepcję na konferencji prasowej lub w artykule, który z całą pewnością niejedna gazeta chętnie by opublikowała. Ze swojej strony dodam tylko, że 10-letnie nauczanie obowiązkowe bynajmniej nie jest postulatem zbyt daleko wybiegającym w przyszłość. Przecież w wielu miastach już teraz prawie 95 proc. absolwentów szkoły podstawowej kontynuuje naukę, a za kilka lat w skali krajowej powszechność nauczania w zakresie szkoły ponadpodstawowej będzie zrealizowana w 90 proc.

Tadeusz Piekło

ROŻEN

To nie róża, nie lotos — a jak blisko losu.
Światło przedwstępujące roznieca uwagę;
z niej — ciężary, dźwiganie. Tu światło się wzdraga,
bo losom samym w sobie sprostać jest nie sposób.

Stąd cień ze mgły, szarości na zmyślone drogi.
Pobocznie, niewidzialny zaniechajmy płomień;
on w maku i niesmaku bez ratunku tonie,
w błocie przysiąg, w błyskaniu zbutwiałej eklogi.

Cicho, cicho o sobie — morze się rozwidni:
jest najbliżej, za myślą — (już obmywa dłonie)
jeszcze siebie niepewne, wahliwe ułomnie,
ale z pomysłem ryby. Co zechce, uczyni.

Droga przystanie z nami. Zmilknijmy w pół głosu.
Z krzykiem rośnie i wzbiera zielone, naiwne.
(Zbądźmy się ukochanej obfitości uczuć).

Nie od dziś zapomnienie nie z prawdą się kłóci.
W dym i płomień przepływa trwałe, pewne, sztywne.

Między dymem i ogniem — wątłe nici losu.

1969

W CIAŁO WPISANA

śmierci mojej

wiem:
ty mi służysz w nieobeszłym znoju
w ciało wpisana jak słońce się złocisz
w gałęziach (w żyłach)

oto nam dzień stoi w ćwierkaniu ptaków
(jest kwiatem paproci;
bo łączy z sobą dotąd niezgodzone
korzenie nasze w serdecznej dobroci —
przecież nam wspólna ta jedność ułomna?
my — jak pan z bratkiem)

w gałęziach drzewa wczesna zieleń ranna
objęta wiatrem szukającym muru
trwalszego od krwi i mięśni pod skórą
— — — — — — — —
przetrwamy noc dzień
najdłuższe czekanie

wiernie trwaj we mnie
nim mnie przenikniesz zdradzisz i odejdziesz

MY W ĆWIERĆWIECZU

Krystyna Świerczewska

RO

Jako motto mogłoby tu służyć żartobliwe „Słówko" Boya o domu rodzinnym i sińcach na pysku, oczywiście gdybyśmy owe sińce umieli potraktować metaforycznie i rozciągnąć na całą sferę drobnych utrapień życia w zbiorowości, połączonej więzami krwi oraz gdybyśmy zatrzymali się dłużej przy pierwszej części Boyowego aforyzmu, bynajmniej nie tak bardzo znowu ironicznej...

„Nie masz nic w świecie ponad życie domowe
Uczciwe a szczęśliwe, tanie a zdrowe;
Któż nie wzdycha za sielskim
Domkiem swym rodzicielskim,
Choć zeń zwykle miał w zysku
Sińce na pysku..."

Sam Boy zresztą zawdzięcza domowi rodzinnemu zbyt wiele, by móc bodaj przypuścić, że intencją zabawnego „Słówka" było coś więcej aniżeli przekora i... niemówienie o domu własnym. A w ogóle — to za każdą naszą wielkością intelektualną stoi jak opoka dom, środowisko, rodzina — ta wielka instytucja ucząca pierwszych drgnień serca, później rozumu, a na progu dojrzałości — światopoglądu.

Kiedy czytam rozpaczliwe „Listy do Ojca" Krasińskiego, zastanawiają mnie nie tyle same rozpacze trzeciego wieszcza, ile ów wiernopoddańczy kult, nie nazbyt szczęśliwie ulokowany. Kult, który owocował w przyszłości „Nieboską" — kłopotliwą nie tylko dla historyków literatury, ale przede wszystkim dla młodych, którzy ani rusz nie potrafią zestawić słynnego Kordianowego **„Ludy zawołam! Obudzę"!** z okopami św. Trójcy... Może po latach dopiero, gdy sięgną po listy do matki — jednego i listy do ojca — drugiego, dotrą do mechanizmów rodzinnych i zadrżawszy nad przepaściami między uczuciem a uczuciem — głębiej wejrzą w owe „sińce na pysku" — wcale ale to wcale tutaj dalekie żartobliwym metaforom

Rozciągliwe to słowo „rodzina", podatne statystykom i nieuchwytne zarazem. Nietrudno to odkryć w przypuszczeniu, że na 30 milionów Polaków, przeciętną statystyczna mogłoby być 7 milionów rodzin najbliższych; zaś gdyby doliczyć każdemu wszystkie ciotki, teściowe i kuzynów — to właściwie cała Polska składać by się mogła z pół miliona wielkich rodzin, bo sześćdziesięciu ciotek nie zawsze znanych z nazwiska, każdy by się doliczył chyba. Gdybyśmy ponadto przyjęli, że każda ciotka ma sobie bliską osobę, co prawda nie z rodziny sensu stricto, ale taką, za którą dałaby się posiekać — to faktycznie wynikałoby z tego twierdzenie, że w jakimś Wołominie poprzez jakąś ciotkę powinnam znaleźć bardzo serdeczną mi osobę, która może być dalszym ciągiem rodziny. Logicznie więc stwierdzić wypada, że Polak Polakowi zawsze rodziną i że wszyscy się znamy, popieramy. No i kochamy — jak to w rodzinie...

To ad hoc czynione wyliczenie naturalnie nie ma nic wspólnego z tablicami GUS; powstało niczym Sienkiewiczowska „Trylogia" ku pokrzepieniu serc, że od tej chwili, kiedyśmy sobie uświadomili rozległość naszych rodzin, będzie o wiele łatwiej iść w życie — o wiele trudniej potknąć się w tym życiu — o wiele spokojniej dumać nad losem siebie — jako jednostki to życie szturmującej.

Tak i sobie na początku wytchnąwszy, sięgam pamięcią w te rodziny które w życiu spotkałam, z którymim mogła nawiązać nitkę sympatii, niezależnie od faktu, czy były szczęśliwe, bądź czy prześladował je pech; czy ich horyzont zamykał się do małej wioski czy dużego miasta; czy liczyły lat setkę, a ostatnie ćwierćwiecze tylko tę setkę lat osadzało mocniej w tradycji, czy powstały tak niedawno, że ćwierćwiecze epoką im się wydaje. Wspominając je, usiłuję wyłowić te momenty, które nam wszystkim wspólne i z których tworzy się przez tysiąclecie nabrzmiałe treścią pojęcie — Ponowił potrzebę r ó w n o w a g i w rodzinie. Zbuntował się jednak przeciw wpływom kobiety, nie bardzo jasno precyzując co, poza rzemiennym pasem winien wnieść do klanu rodzinnego mężczyzna I jak właściwie sobie wyobrażał to zdobywanie dzieci przez ojca? Że będzie chodził z synem na koncert. że wyjaśni mu co to viola da gamba, że po męsku postawi sprawę kobiet? Bo rzecz dotyczyła, niestety, zaawansowanego w lata nastolatka, który wyrósł dawno z pieluch, sypnął mu się wąs i zaczął rozumieć pomału o co idzie Heblak. Ty, oni, ja. Z czegośmy się wzięli i z jakiego ducha? Co nas łączy? Gdzie wytwarzamy wszystkie rożnice, życie utrudniające? Dlaczego jedni krzyczą „veto" — a inni to „veto" zwalczają i dlaczego raz nasze „veto" jest objawem zdrowia moralnego, kiedy indziej zaś znaczy warcholstwo i anarchię? Kiedy i w którym miejscu drogi ś w i a d o m i e wybieramy, czym być mamy i co jest naszym powołaniem i co nam przeszkadza wybrać jeżeli nawet inni starają się nam dopomóc? W czym tkwi błąd? Co jest obok dogmatu i fetyszów — wartością nadrzędną naszego życia.

PAWEŁEK Fot. J. WOJTOWICZ

Zdaje mi się, że na gnębiące pytania jest tylko jedno źródło odpowiedzi — rodzina. Zła albo mądra rodzina. Z zasadami bądź bez zasad. Ta rodzina, która z kilku milionów instytucji — tworzy jedną.

Wielu powiada, że współczesnej rodzinie grozi matriarchat i że dzieci niewieścieją. Feminizacja rodziny jest żadną tajemnicą i żadną, moim zdaniem, zdobyczą. Na pewno nie jest zdobyczą wywalczoną przez kobiety, ale jeszcze jednym ich obowiązkiem w rozległym świecie obowiazków wielorakich. Przed niewielu laty znany i ceniony publicysta nawoływał do powrotu w sferę solidnego, rzemiennego pasa ojcowego i na ogół nawoływnie to przyjęto jako śpiew a rebours, czyli coś kolidującego z epoką rakiet. Przypuszczam, że nietrudno zrozumieć tego publicystę, jeśli odrzuci się polemiczne zacietrzewienie: jeden z pierwszych odbesowi oraz Bersonowi. Wtedy matka podobno przestaje wystarczać, bo ostatecznie kotlet schabowy można zjeść w stołówce — a matce tymczasem pozwolić iść do kosmetyczki i pedicurzystki.

Jest to sposób widzenia może i nowoczesny, ale czy sprawiedliwy? Niezmiernie łatwo rozmawiać chyba z młodym człowiekiem ale kształtować bardzo młodego człowieka — czy też łatwo? Łatwo — uczyć go niezmordowanie w której ręce nóż a w której widelec, w którą stronę czyścić zęby, w którą kieszonkę włożyć wypustkę, w którą dziedzinę wiedzy wdepnąć i w której pozostać z przekonaniem, że wybór był jedynym słusznym wyborem?

Są rodziny i jest ich mnogość niepomierna, gdzie od tych wszystkich niewdzięcznych rzeczy bywa z reguły matka. Kiedy jednak nauczy jako tako zjadać kotleta — nagle na widownię wkracza wiecznie do tej pory przemęczony ojciec. I okazuje się, że przez tych kilkanaście lat, które matkę doszczętnie wyczerpały, on zdążył zmagazynować pokłady energii — toteż od tej pory on będzie decydował o reszcie. O jakiej reszcie? Przecież wszystko zostało już posiane i będzie wschodziło niezależnie od przegrupowań rodzinnych, od układów rodzicielskich, od warunków otaczających. Właściwy moment stawiania młodego człowieka przed wyborem minął niepostrzeżenie — teraz ten wybór spełniać się zaczyna. A rodzina? Rodzina się rozluźni na lat parę bądź paręnaście — przed starymi otwiera się nieco samotności; przed młodymi czysta samodzielność, w której się sprawdzą lub zmarnieją. Bądź stworzą nową rodzinę, a starą przesuną w cień historii.

Jest coś bardzo niewdzięcznego w powstawaniu nowej rodziny, czego nawet optymizm towarzyszący każdemu nowemu dziełu nie jest w stanie zrekompensować. Bo oto nagle zaczyna być ważny wnuk i dziadek istnieć może tylko i wyłącznie jako dopełnienie tegoż wnuka. Matka — jako przedłużenie instancji wszechwiedzącej, w której ręce widelec i jaki gatunek mięsa najmniej szkodzi. Rodzi się nowa rodzina, podczas gdy stara jeszcze istnieje i żyje życiem przynajmniej jednego członka tego nowego tworu. Wtedy też przychodzi następny moment wyboru — my czy oni? Jeżeli my — to oni niech sobie głowy urywają. Jeżeli oni — nas praktycznie już nie ma. Zbyt częste są te dylematy, by ich nie dostrzec i by nie brać ich pod uwagę. Z tych dylematów rozpadają się rodziny i zagubione bez kompasu, krążą w pustce zniechęceń i błędów. A przecież wystarczyłaby szczypta rezygnacji z pozycji starych nieszczęśliwych oraz młodych buńczucznych, a wtajemniczonych i wszystko wiedzących. Za lat parę życie i tak sprawdzi starych w przywiązaniu wypływającym z miłości — młodych w bezradności przed nawałnicą problemów nieprzeżytych. I znowu się spotkają — dobrze, jeśli z głowy wyrzucą te lata wzajemnie przykre; gorzej — jeśli sięgną po starych w charakterze robotów, dotąd ważnych, dopokąd będą działały mechanizmy wyrzeczeń, poświęceń i resztek sił.

Nie jest wesołym zajęciem naprawianie świata, toteż wolę optymistyczne historie o rodzinach, w których się do czegoś dochodzi, zwłaszcza że stanowią pocieszającą większość i oglądamy je syci ludzkiego zadowolenia. Któż potrafi jednak przejąć m e t o d y, gdy samą już tylko nieudaną starość ma przed sobą?

Bywamy zmęczeni i nie cierpimy pytań; rodzi się w nas potrzeba samotności za taką cenę i przedkładamy ogłupiającą historię o „Świętym" w tarapatach nad zasadnicze pytanie: „Tatusiu, skąd się biorą dzieci", ale... skąd się biorą dzieci? Przecie nie ze zmęczenia urośliśmy po wojnie o parę milionów Polaków więcej, i nie ze zmęczenia te Mariole, Januszki, Jolanty i Joanny się nam plączą u boku. „Święty" więc może być relaksem bardzo nam należnym, pod warunkiem że relaksujemy się wszyscy w rodzinie i że umiemy zapracować świadomie na te chwile; w każdym razie — nie za cenę lekceważenia Januszkowych pytań, skąd się znalazł w rodzinie wiecznie przemęczonej...

Samochód, telewizor, dobrze urządzone mieszkanie stają się wtedy po prostu instrumentami pomocnymi w zrzucaniu odpowiedzialności za proces wychowawczy — protezami osobowości i jedynym efektem, jaki wywołają w młodym pokoleniu będzie negatywny efekt oportunizmu. Bo nie chodzi już o to, by bezkrytycznie przyjąć zdanie Nałkowskiej „nie ten jest biedny, kto nic nie ma, ale ten, kto nie pracuje" — lecz by bronić rodzinę przed taką pracą, która zachłannie gromadzi wszelkie protezy osobowości za cenę otępiających zmęczeń i oziębłości pedagogicznej. Rodzina musi mieć czas dla siebie. Jeżeli nawet siłą integrującą bywa w niej obok więzi uczuć — więź konsumpcji, to tą konsumpcją jest także ów wspólny sposób spędzania wolnego czasu, który w prostej linii wiedzie do tworzenia bądź zanikania współpartnerstwa. A przecież żadną tajemnicą nie będzie — jeśli powiem za znanym socjologiem Ernestem Fischerem, że tylko wtedy, gdy tępe powiązania rodzinne przechodzą w świadomy wzajemny stosunek, można mówić o rozumnym rozwoju rodziny; można przestać biadać nad jej feminizacją, gdy się przyjmie, że macierzyństwo jest pełnowartościowym zawodem, który pomaga nie tylko wyjść na świat, ale także wejść w świat.

Mała Mariola w sercu Bieszczadów się chowająca przed rokiem zadała mi pytanie: „Proszę pani, czy weźmie mnie pani do samochodu, bo ja chcę do Maćka w Tarnobrzegu?" Zdębiałam. Babka, matka, ojciec, pełzający niemowlak numer dwa — jakieś psy, koty, oszałamiająco piękna przyroda za oknem, rydze, które się kosą ścina — i takie pytanie, rzucone osobie obcej? Nie wzięłam Marioli do Tarnobrzega

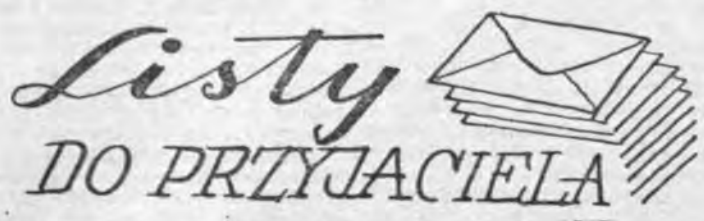

I jeślim gwary ojczystej
Choć jeden przysporzył klawisz
Ty mnie od hańby wieczystej
O mowo polska, wybawisz!

(Boy)

Czy nie Nałkowska to napisała, że „oboje chcieliśmy takiego świata, dla którego myśl nie będzie niebezpieczeństwem?". Żyjemy na szczęście oboje w tej jego cząstce, w której odnowa pojęć pryncypialnych wynika z zagwarantowania prawa do myślenia każdemu człowiekowi Sądzę więc, że masz rację pisząc mi o dziennikarstwie jako zawodzie indywidualnych przemyśleń, dobrowolnie acz publicznie sprzedawanych. Co więcej — że jest to jeden z tych zawodów, który praktycznie nie istniałby bez publicznego odbioru, bez społecznego rezonansu. Wszystko to piękne i oczywiste, ale czyś zastanawiał się kiedy nad konsekwencjami w tak uprawianej pracy? Obustronnymi konsekwencjami.

Warto byłoby i o nich pomyśleć, Drogi, bym nie poczuła się zanadto rozczulona Twoimi gratulacjami z powodu XX-lecia gazety, w której pisać zaczęłam przed 13 laty i ze zmiennym natężeniem — piszę do dziś, mimo te konsekwencje, mimo adwarsarzy mego sposobu myślenia i przyjaciół mego sposobu widzenia tego świata, dla którego myśl ludzka, co najmniej od ćwierćwiecza przestała być niebezpieczeństwem, stanowiąc podstawę jego rozwoju. Czy przeto nie przesadzasz, jako przyjaciel w tych serdecznościach i nadmiarze pamięci? Bo choć przyznać Ci muszę, że list jest jedyną formą rekompensaty za pracę dziennikarską (poza wierszówką, o której mówić nie wypada przecie przy jubileuszach) — to listy na

DZINA

— przypuszczam, że było jej tragicznie smutno po moim wyjeździe, ale zabrałam z sobą obraz tej leśniczówki pośród głuszy, gdzie ludzie świadomie dokonali wyboru i świadomie jedzą czerstwy chleb, ráz na tydzień dowożony przez metrowe zaspy w zimie. Mariola nie rozumie, że w pobliskiej (co tutaj czytać należy o całe kilometry głuszy dalej leżącej) leśniczówce żył takim życiem brat jej matki, teraz żyje jej ojciec — a babka z dumą powiada: „w mojej rodzinie chłopaki zawsze las kochały".

Stary człowiek został sam w wielowiekowym sadzie: został sam, bo dobrze mu pośród drzew, tych leszczyn i jonatanów, bo grady jesienne przypominają mu młodość i ten czas, kiedy trzech chłopców pchnął w miejskie środowisko i są oni dziś magistrami z jednym naczelnym utrapieniem — jak przekonać ojca, by dla nich z jonatanów zrezygnował?

Na stromym wzniesieniu podprzeworskiej wsi żyje sobie zapomniany rzeźbiarz - świątkarz i opowiada cudeńka o tym, jak swoim świętym nadawał oblicza Józka zza miedzy, Janka zza góry czy Franki zza trzech miedz. Syn mu dzwoni motorem co dnia, gdy wraca z przeworskiej cukrowni, a późnym wieczorem obaj ugadują, gdzie posiać rzepak, żeby motor w syrenkę zamienić.

Nie jest im smutno i są dalej rodziną. Tak jak moja najmilsza znajoma polonistka z Albigowej — była słuchaczka Uniwersytetu Dziubińskiej, która z synem toczy szalone dysputy o tym, jak zdobyć kawałek świata na własny użytek i temu zdobytemu kawałkowi świata siebie podarować dobrowolnie, nawet jeśli on nieefektowny, niepiękny...

Jest w nich wszystkich poczucie więzi z tą odrobiną ziemi, na której im żyć przyszło, i wielka zachłanność w przekonywaniu młodych, że nic nad ten kawałek ziemi eksploatującej ich wiedzę nie wart jest zachwytu. Wszyscy przeżyli ów moment zniechęcenia bardzo małej Marioli, której smutno bez rówieśników — ale duże Mariole, mimo te zniechęcenia są uwiązane sentymentem do miejsca, zawodu, zapatrywań, o których słyszały dobre słowa i na tyle mądre że wiedzy tej nie potrafią później zlekceważyc.

Stąd nie sądzę, by rodzinę bulwersował i uzdrawiał rzemienny pas oraz frustracja. Ani też nie wierzę, by modny temat feminizacji rodzin mógł jej zaszkodzić.

Istnieją natomiast pytania typu:

— Co to jest godność człowieka?

— Kiedy, w jakim momencie życia i poprzez jaką metodę stajemy się samodzielni?

— Czym jest tradycja?

— Co to jest upór powiązany z pojęciem węższym nieco — polski upór.

— Gdzie rodzą się Drzymałowie?

Wreszcie istnieje sentyment dla tych, którzy poświęcili nam młodość — udolnie czy nie, to nieco dalsze zagadnienie — ale przecież oni są i czegoś tam próbowali nas nauczyć. Stary rzeszowski taksówkarz na przykład nauczył syna, jak zdobyć zawód i jak później za korzyści z tego zawodu płynące wychować tę resztę, której on sam, bo było jej dużo, pchnąć w świat dalej nie potrafił. I syn zawód zdobywszy, rewanżował się rodzinie.

A inni, których znamy i o których słyszeliśmy? Jak mogę zapomnieć, że posiwały w przywiązaniu do stacji Chandra Unyńska kolejarz uczył wnuka tuwimowskiego wiersza po to, by nazwy takie zniknęły? Że znana polska aktorka, z którą krytyka była nieco na bakier, sięgnęła w momencie powodzenia po rezerwy rodzinne i pociągnęła w świat siostrę, matkę, uważając, iż syn urodzony gdzieś w Europie jednak jest z matki Polki? Że słynny Antoine Cieplikowski u schyłku życia rodzinny Sieradz chce upodobnić do Paryża...

Tak i mając zamiar pisać o Polakach w ćwierćwieczu — tych nieznanych, acz bardzo przecie realnie na Polskę się składających i ducha przede wszystkim z minionego ćwierćwiecza czerpiących — dziś czynię to z intencją uchylania drzwi domów rodziny dobrej. Prześwietnej instytucji, z której jesteś ty, oni, ja. W której nawet się nie lubiąc — się kochamy! I wiemy, że tak trzeba. Że czasem w tej antynomii mieści się Polak cały...

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Marek Adam Jaworski

W Budziszynie wśród Serbołużyczan (II)

DOMOWINA WYDAJE KSIĄŻKI

Przed tygodniem przedstawiłem czytelnikom „Widnokręgu" nieco faktów historycznych dotyczących Serbołużyczan. Dziś — już bardziej bezpośrednie wrażenia z pobytu w Budziszynie.

Przyjechałem do tego miasta rano. Przed dworcem stało kilka taksówek.

„Do Domowiny? Po co mam pana wieźć? — zdziwił się taksówkarz. — Przecież to kilka kroków. Pójdzie pan prosto i skręci obok poczty".

Pocztę znalazłem po kilku minutach.

„Domowina? Prosto i na lewo" — poinformował przypadkowy przechodzień.

Po chwili znalazłem się przed starą kamienicą. Tabliczki na drzwiach informowały, że tu znajduje się redakcja „Nowej Doby" i wydawnictwo Domowina. Mnie chodziło o organizację Domowina, a nie o wydawnictwo, do którego zresztą miałem zamiar później się wybrać. Skoro już jednak byłem na miejscu...

Po drodze na czwarte piętro zahaczyłem o redakcję „Nowej Doby". Zresztą zwykle, gdy jestem za granicą, staram się odwiedzić kolegów po piórze, jako że oni mogą być najlepszym źródłem informacji. Sekretarz redakcji, do którego zwróciłem się po polsku, łatwo mnie zrozumiał i zaprowadził do sekretariatu naczelnego. Tutaj chwilę czekałem, bo właśnie naczelny, tow. Max Pilop, miał jakąś naradę. Na stole leżał ostatni numer „Nowej Doby". Wziąłem gazetę do ręki i rzuciłem wzrok na tytuły. Rozumiałem co drugi, trzeci wyraz, ale ogólnie pojmowałem sens poszczególnych doniesień agencyjnych. „Nowa Doba" ukazuje się codziennie na czterech stronicach dawnego formatu „Nowin Rzeszowskich". Jak się później dowiedziałem, pismo wychodzi od 23 lat. Ma nakład kilkutysięczny, który głównie sprzedaje się w prenumeracie. Raz w tygodniu, w sobotę, do dziennika dołączany jest 12-stronicowy dodatek o osobnym tytule. Piękny kredowy papier, liczne zdjęcia, wysoka jakość druku... [illegible] zazdrościć. Dodatek z nowi[illegible]niem spełnia rolę tygodnika społeczno-kulturalnego, który — dzięki ścisłemu powiązaniu z gazetą ma na pewno więcej czytelników niż gdyby ukazywał się oddzielnie. A więc całkowite podobieństwo z „Widnokręgiem", któremu zresztą szczerze życzę osiągnięcia takiej szaty graficznej.

Red. Max Pilop, z którym po chwili ucięliśmy sobie dłuższą pogawędkę, wprowadza mnie w arkana pracy redakcyjnej. Zespół jest nieduży, ale wszystko, co znajduje się na łamach, wychodzi spod pióra tutejszych dziennikarzy i współpracowników. Pismo nie może korzystać z usług żadnej agencji, bo agencji serbołużyckiej nie ma, a wiadomości agencji ADN (stanowiącej odpowiednik naszej PAP) też trzeba tłumaczyć z niemieckiego. Sprawia to sporo pracy, a harmonogram druku jest napięty, toteż niektóre informacje ukazują się w gazecie z jednodnowym opóźnieniem w stosunku do niemieckich gazet drezdeńskich. Oczywiście pismo zamieszcza tylko wiadomości najważniejsze, zdając sobie sprawę, że gros czytelników i tak czyta gazety niemieckie, słucha radia i telewizji.

Dalszą rozmowę kontynuowaliśmy już na czwartym piętrze w gabinecie przesympatycznego tow. Ben Budara, kierownika działu naukowego wydawnictwa Domowina. Zostałem tu tym bardziej miło przyjęty, że gospo-

(Ciąg dalszy na str. 6)

Jurij Bresan

ogół bywają dwojakie i w skrajnościach swoich rzucają nas w oceany zwątpień, by zaraz wynieść na szczyty chwały; trzeba mieć mocną głowę i żelazny system nerwowy, żeby plewy oddzielić od myśli, pochlebstwo od rzeczowego rezonansu, zlekceważyć własne możliwości, nie poddać się kurtuazji, zaprzeczyć, gdy wymaga interes sprawy indywidualnym sympatiom, słowem — zachować spokój nawet wtedy, gdy głośny protest podszeptuje kobieca natura. Bo w dziennikarstwie nie ma kobiet i mężczyzn — są tylko dziennikarze. Dziennikarstwo zagubia płeć. Uczy jak być mężczyzną, bodaj jak dostosować się, by nie razić, nie odbijać od otoczenia.

Historia opowiada o wielu prześwietnych dziennikarzach, poczynając od ojca zawodu Egona Erwina Kischa, który jako szalejący reporter świat bez mała cały przeleciał, poprzez jednego z najbardziej kontrowersyjnych, co na podobieństwo wielkiego cesarza a małego kaprala obrał antynomię tamtego słynnego nazwiska, z góry sugerując, że Malaparte będzie pisał tylko tak, jak jemu się podoba. Pisał więc rzeczy straszne i wstrząsające, w których zły punkt widzenia nie przeszkadzał jednak w obnażaniu prawdy obiektywnej. W tym przedziwnym człowieku skontruowanym z melanżu przewrotności, odwagi i talentu, istniała ponad wszystko potrzeba prawdy, obsesja prawdy za każdą cenę, dotarcia do niej w imię szczytnych celów i w imię świństwa. Właściwie Malaparte mógłby być kwintesencją dziennikarstwa Zachodu: drapieżność, nieliczenie się z człowiekiem i hołdowanie strasznym środkom, które rzekomo zawsze uświęcają cele.

Niełatwo jest pojąć i niemożliwe przyjąć za własne dziennikarzom naszego świata. Istnieje przecie cała chropawa gama środków zbyt brudnych, by jakikolwiek, najszczytniejszy cel mógł je uświęcać, istnieje etyka zawodu, moralność pracy wreszcie, które, bynamniej nie ułatwiając dziennikarskiego życia, oczyszczają je jednak z tych wszelkich posmaczków taniej sensacji, sensacji za wszelką cenę.

Nie napisałam w życiu artykułu sensacyjnego i właściwie, nie wiedząc jak się przyprawia taki artykuł, nie wiem również czy to źle czy to dobrze. Bo bywają artykuły sensacyjne, wynikające przecież nie tylko ze środków zdobywania materiału, ale z rzeczywistości, która sensacji wyzbyć się nie potrafi. Przypuszczam, że dzieje się tak m. in. dlatego, że jak sam wiesz nigdy nie słuchałam wykładów o budowie informacji dziennikarskiej, w której sensacją na ogół nie będzie, że „pies ugryzł człowieka", natomiast odwrotność zdarzeń może podniecać. Czy jednak warte jest myślenia formułowanie takiej sprawy, że kopnięty człowiek pogryzł psa? Dziennikarstwo wszak nie bywa wyławianiem anomalii życia społecznego, lecz jego prawidłowości; widzę więc tę klasyczną anegdotę o zawodzie jako wieść podburzającą niemal — a cóż w końcu we mnie z burzyciela?

Zgodzę się z Tobą, że jeżeli burzyć — to chamstwo, dogmat, mieszczańskie sposoby myślenia, słowem — te obrzydliwości, które odkąd świat istnieje przeszkadzają go dobrze urządzić. A jak już uda się część tego świata przemeblować szlachetnymi pojęciami — lubią łeb podnosić i mącić bezmyślnie. Idzie nam bowiem o to obojgu, by myśl nie była niebezpieczeństwem! Poprzez myśl — liczy się więc człowiek. I prawda o nim.

Zdaje mi się, że nie znam innych pasji dziennikarskich nad tę prawdę o człowieku i tu skłonnam się zgodzić, że znakomicie działa uczucie zachłanności w jej gromadzeniu, niezwracanie uwagi na trudności; dobrze robi drapieżność i odwaga, brak kompromisów i wiedza. Warunek — że żyjemy w świecie, w którym myśl nie bywa niebezpieczeństwem. Że myślimy prawidłowo. Że świadomie wybraliśmy spokój na świecie, gdzie żadne psy z ludźmi, ani tym bardziej ludzie z psami gryzienia wzajemnego nie obiorą za sens życia, gdzie koegzystencja ludzi z ludźmi pozwoli lepiej żyć człowiekowi. Myśl wtedy ma szansę urosnąć w ideę — dziennikarstwo zaś, podpowiadając, przekazując, informując, utrzyma ów świat po prostu tylko w równowadze. Szybciej nauczy żyć lepiej. Przez to jest najbardziej potrzebne tam, gdzie jest jeszcze wiele do zrobienia.

Tak i sobie gwarząc z Tobą jubileuszowo, ważę w myśli blaski i cienie tego zawodu. Blaski zresztą mozolnie Ci wyżej rozsypałam, a cienie? Jest jeden, wielki, czasem świat przesłaniający, parszywy cień: że często chcąc dobrze — niezdarnie to robimy. Nie podejmuję się rozstrzygnąć, dlaczego tak się dzieje, że najlepsze intencje zamieniają się w świecące próchno. Wiem, że tak bywa. Że niczym zważyć intencji niepodobna i że ludzie są, byli, będą omylni. Toteż dobrze rzecz w takim wypadku powierzyć najjaśniejszemu panu czasowi, który ją sprawdzi za lat parę i wyda swój przytłaczający wyrok.

A poza tym cieniem są jeszcze cienie cieniów, takie miniaturki rzeczy ważnych — uprzykrzone, brzydkie posądzenia o stronniczość, o sympatie i antypatie, podejrzenia o złą wolę, wynikające przede wszystkim z ułomności ludzkiej natury i z jej niepisanego przywileju widzenia najpierw siebie, potem całej milionowej reszty. Zgrzytnie Ci taki za uchem anonimem, wysunie kawał zjadliwego jęzora, nie zegnie potłuściałego karku w ukłonie, puści jadowitą plotkę na temat pochodzenia matki czy ojca i szczęśliw w swoim świństwieniu — czeka efektów. Nie bierze tylko pod uwagę, że dziennikarz to taki człowiek, który niemal od urodzenia miał paru nieprzejednanych wokół siebie i dzięki nim właśnie zdążył przywyknąć, okrzepnąć, poczuć wagę swoich racji. Bo, jeszcze raz wracając do Nałkowskiej: „Trzeba zrozumieć słuszność innych — nawet gdy jej nie mają. Inaczej nie można zwalczać"... Żeby zrobić miejsce dla całej rzeszy przyjaciół. Więc i dla Ciebie.

Tym Cię przeto żegnam jubileuszowo, odświętnie i mówię: „Vale et me ama".

KRYSTYNA

● POLEMIKI ● DYSKUSJE ● KORESPONDENCJE ● POLEMIKI ● DYSKUSJE

Ogólnopolska Konferencja poświęcona muzeom na wolnym powietrzu w Sanoku

NA KRZYWIZNACH ARGUMENTÓW

Tocząca się od pewnego czasu na łamach „Widnokręgu" dyskusja, do której podjęcia namawia w dalszym ciągu autor artykułu „Konserwatorskie dylematy. Lekarze zabytków i... trzeci grzyb" — R. Stachnik pozwala nam już w tej chwili na ustosunkowanie się do kilku wybranych problemów, które znalazły oddźwięk w poszczególnych wypowiedziach. Parki etnograficzne, najmłodsze wiekiem muzea, mają już bowiem swoją historię, która dostarcza nam materiału do konkretyzowania pewnych uogólnień, znanych dobrze środowisku muzeologów, niezbyt jasno natomiast uwydatnianych przez niektórych polemistów.

Lata dzielące nas od założenia pierwszego skansenu (Nordiska Museet na wyspie Djurgaarden) — upoważniają nas do ujmowania zjawisk w perspektywie historycznej, ich oceny merytorycznej i wyciągnięcia pewnych wniosków w oparciu o uznane międzynarodowe doświadczenia w tym zakresie.

Ważnym stwierdzeniem dla nas będzie fakt, że pierwsze skanseny tworzyli przeważnie miłośnicy przeszłości — amatorzy, były one wynikiem prywatnych zbierackich pasji, które z czasem doczekały się poparcia i zrozumienia wśród szerszych kręgów społeczeństwa. Ich zadaniem było ratowanie najcenniejszych obiektów i przedmiotów czy to z zakresu budownictwa, czy kultury materialnej. Dlatego pierwsze muzea na wolnym powietrzu są zbiorowiskiem pięknych budowli i eksponatów zestawianych na zasadzie przypadkowości. Jakkolwiek pretendowały one do pełnego ujęcia zagadnienia, tzn. przedstawienia całokształtu ludowej kultury, nie mogły go spełniać, choćby dlatego że w epoce, w której pierwsze parki powstawały pojmowano nieco inaczej prawa historycznego rozwoju społeczeństw. Z dzisiejszego punktu widzenia nie spełniają one zadań, jakich byśmy po nich oczekiwali. Ukazywanie pojedynczych faktów z pominięciem pozostałych, jak gdyby one nie istniały, nie może zadowolić ani uczonego, ani przeciętnego widza, bardzo krytycznego, bo pamiętającego wiele spraw z własnego doświadczenia.

Jednakże już pierwsze skanseny dały podwaliny organizacyjne pod wszystkie jednostki tego typu. Jako najważniejsze stawiały sobie cele naukowe i dydaktyczne, jakkolwiek pozornie zwiedzanie muzeum kojarzyło się widzowi przede wszystkim z rozrywką. Organizatorzy skansenów uznali za słuszne pokazywanie pewnych procesów produkcji surowca i wyrobów w warsztatach rzemieślniczych przeniesionych do parku (kuźnie, folusze, młyny, tartaki, warsztaty grzebieniarskie i in.), co umożliwiało emocjonalne uczestnictwo w przebiegu wytwarzania dóbr materialnych i zapoznawanie z prymitywnymi sposobami wytwarzania. Podobnie interesującym zjawiskiem było demonstrowanie obrzędów i innych pokazów folklorystycznych na tle naturalnej oprawy scenograficznej. Niektórzy organizatorzy nie cofnęli się również przed wprowadzaniem ubocznych, niczym nie związanych z ideą skansenowską atrakcji, jak ogrody zoologiczne i botaniczne, traktując je zresztą początkowo jako swoiste rezerwaty wymierających roślin i zwierząt.

Po drugiej wojnie światowej notujemy niebywały wzrost zainteresowań skansenami na całym świecie. Na skutek gwałtownych przeobrażeń ekonomicznych i zniszczeń wojennych zasobów zabytkowych, uświadomiono sobie, że tworzenie rezerwatów budownictwa i przenoszenie obiektów do specjalnie w tym celu wybranych miejsc jest palącą potrzebą, niemniej, że ma to sens wtedy, gdy te enklawy budownictwa są w stanie w możliwie dokładny sposób odtwarzać rzeczywistość historyczną, a więc gdy ukazują syntetyczny, niezafałszowany obraz wsi z określonej epoki i obszaru. Widzimy więc, że do czysto sentymentalnych motywów ochrony ludowego budownictwa włączono aspekty społeczne, zgodnie z nowoczesnym stanowiskiem nauki. Przejawiło się to przede wszystkim w ukazywaniu w ekspozycji nie tylko obiektów pięknych, unikalnych, przypadkowych — ale głównie typowych, dających pojęcie jak wieś rzeczywiście żyła, mieszkała i pracowała. Do sprecyzowania wytycznych doszło ostatecznie na Międzynarodowej Konferencji ICOM w 1957 roku. Zawartymi w postanowieniach tej konferencji wskazówkami kierują się do dziś wszystkie przemyślane koncepcje skansenowskie na całym świecie.

Nie wyklucza to oczywiście odrębnego rozwiązywania problemów typowych dla danego kraju. Tak np. w Polsce przeważa zasada tworzenia mniejszych muzeów regionalnych dla pewnych jednostek terytorialnych i grup etnograficznych, co jest związane przede wszystkim z historycznym, ekonomicznym i krajobrazowo-przestrzennym zróżnicowaniem naszego kraju, które to czynniki zasadniczo wpłynęły na kształtowanie się odrębności w architekturze i kulturze materialnej wsi.

Pierwszą i zasadniczą sprawą przy podejmowaniu decyzji o budowie skansenu jest niezwykle staranny dobór terenu, który musi być piękny, odizolowany od miejskiego środowiska i na tyle zróżnicowany, by pozwalał na odtworzenie odpowiedniego krajobrazu wokół obiektu. Z reguły zresztą skanseny takie położone są w pobliżu skupisk ludzkich względnie szlaków turystycznych.

Polskie skanseny w większości odznaczają się wyżej wymienionymi cechami, zarówno duże muzea jak w Olsztynku czy Sanoku, jak i mniejsze w Zubrzycy na Orawie, Lipowcu czy też pod Krakowem. Staranny dobór przestrzeni ekspozycyjnej wynika z poczucia odpowiedzialności wobec podjętego zadania, a także stosunku do rozwojowych prognoz terenu: urbanistycznych, gospodarczych, turystycznych itp.

W tym miejscu chciałabym się podjąć obrony obszaru wystawowego pod obiekty sanockiego Muzeum Budownictwa Ludowego. Ze lokalizacja jest jedną z najwłaściwszych, świadczy o tym wysoka ocena międzynarodowych ekspertów do spraw skansenowskich, którzy gościli w Polsce w 1962 r., dokonując szczegółowego przeglądu wszystkich parków etnograficznych w Polsce. Dlatego sugerowanie przez R. Stachnika poglądu, jakoby lokalizacja muzeum miała być „pomyłką" po prostu nie ma sensu. 2 km odległości od centrum miasta dla zmotoryzowanych wycieczek spoza Sanoka nie przedstawia najmniejszego problemu, gdyż w ogóle uczestnicy wycieczki po to przemierzają wszerz i wzdłuż Polskę, by coś zobaczyć. (Współcześnie zakładane Muzeum Skansenowskie w Dumbravie Sibiului oddalone jest 12 km od miasta, skansen na Avali w Jugosławii — około 30 km, Muzeum w Olsztynku co najmniej 2 km itp.). Ruch turystyczny na terenie skansenu, mimo że, co wciąż miejmy na uwadze, muzeum jest w budowie i posiada zaledwie jedną trzecią obiektów w ekspozycji, nieustannie rośnie. W bieżącym sezonie MBL zwiedziło przeszło 30 tys. turystów (dane uzyskane z dokumentacji prowadzonej przez sprzedających bilety). Inną sprawą jest konieczność zbudowania w Sanoku trwałego względnie pontonowego mostu, który połączyłby obydwa brzegi Sanu, co miejmy nadzieję wkrótce nastąpi, gdyż wisząca kładka niedługo przestanie pełnić swoją funkcję, a przecież tuż przy skansenie znajduje się stacja Bieszczadzkiego Pogotowia Ratunkowego, ośrodek wczasowy PTTK, i chodzą tędy na co dzień mieszkańcy dzielnicy zwanej Białą Górą.

Powróćmy obecnie do problemu uatrakcyjniania ekspozycji skansenowskich. Wszystkie muzea na świecie realizują słuszny w założeniach program popularyzacji wiedzy i różnych form atrakcyjnego wykładu. W pełni zorganizowane parki wprowadzają wspomniane już pokazowe demonstracje produkcji na warsztatach i oddają do użytku turystów dawne obiekty użyteczności społecznej (karczmy, świetlice, spichlerze). Nie zamierza z tego momentu zrezygnować żaden z polskich skansenów (w karczmie z Podwilka w Muzeum Orawskim jest schronisko turystyczne, w oddawanym do użytku w br. w Sanoku spichlerzu z Grabownicy założony zostanie kiosk sprzedaży pamiątek, podobnie w Nowogrodzie nad Narwią). Jednakże skansen nigdy nie zamieni się tylko w plac zabaw dla dzieci. Rozrywka proponowana przez muzea ma przede wszystkim ułatwić wchłanianie wiedzy, ma rozpraszać znużenie.

Skansen nie jest również „sztuką dla sztuki", gdyż od początku tworzy się go z myślą o społeczeństwie. Prócz utrwalania realnych fragmentów historii, tj. zadań dokumentalnych, ma do spełnienia cele dydaktyczne, i naukowe. Skansen powinien być ośrodkiem wiedzy o regionie, musi tę wiedzę gromadzić, opracowywać i upowszechniać. Za nim bowiem społeczeństwo polskie zintegrowało się w stopniu, który obserwujemy dzisiaj, było społeczeństwem klasowym o ograniczonych prawach i zróżnicowanych warunkach bytu. Stojący na najniższym szczeblu hierarchii społecznej chłop przez wieki musiał być samowystarczalny w zakresie produkcji podstawowych dóbr materialnych. Skąpa baza materialna wpłynęła na kształtowanie się psychiki i mentalności ludzi żyjących na wsi. Uświadomienie sobie tego problemu pozwoli nam na właściwą interpretację historii współczesnej i zrozumienie postępu, który mimo że dokonał się na naszych oczach, ciągle wymyka się ze świadomości młodszego pokolenia, znającego z autopsji wyłącznie powojenną rzeczywistość. Skanseny ponadto mają nas nauczyć, że wieś broniła swej godności wypowiadając się między innymi poprzez tworzenie przez siebie dzieła, pełne autentyzmu, niepowtarzalnego piękna i ściśle związane z przyrodą.

Przy okazji zabierania głosu w dyskusji chciałabym również ustosunkować się do kilku spraw z rzeszowskiego podwórka, poruszonych w artykule R. Stachnika. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że rację ma docent Kotula broniący prawa do samodzielnego skansenu dla terenów północnej Rzeszowszczyzny. Zbliżony do naturalnego krajobraz okolic Głogowa gwarantuje lepszą realizację całości zadania. Nie będzie również błędem sytuowanie muzeum na terenie projektowanego parku wypoczynku w Głogowie, oczywiście o ile organizatorzy potrafią umiejętnie rozdzielić samą ekspozycję od takich elementów, jak np. wesołe miasteczko, cyrk itp. Niemniej rację ma również red. Wawszczak twierdząc, że przedsięwzięcie tego rodzaju wymaga znacznych funduszy. Jest to wielomilionowa inwestycja, która dopiero po ukończeniu budowy może być rentowna. Z pieniędzmi na budowę parków nie jest najlepiej, wbrew niektórym polemicznym głosom. Sanocki park z powodu ograniczonych funduszy nie jest w stanie postawić rocznie więcej niż 2—3 budynki, pomimo że założenia projektowe zakładają ukończenie ekspozycji w 1980 roku, wymagałyby realizacji co najmniej 5 obiektów rocznie. Dlatego całość północnorzeszowskiego programu zależy zdaje się tylko i wyłącznie od zorganizowania odpowiednich dotacji.

Dość mgliście wyglądają wywody R. Stachnika na temat możliwości przerobowych jarosławskiego pododdziału Pracowni Konserwacji Zabytków i dotacji na ochronę zabytków na terenie województwa rzeszowskiego.

Zanim bowiem powstała jarosławska placówka, prace remontowo-budowlane przy zabytkach na terenie sanockiego skansenu prowadzono przy pomocy własnych brygad ciesielskich opartych o system ryczałtów. Brygady te musiały być zlikwidowane, aby zapewnić PKZ odpowiedni przerób (notabene w wysokości około 1 mln zł rocznie). W ten sposób zmonopolizowano wszelkie usługi konserwatorskie na terenie województwa, skąd więc obecne narzekanie na brak mocy przerobowej Pewnie, że trudna jest sytuacja instytucji, która władze nadrzędne ma w Lublinie — a teren działalności na obszarze Rzeszowskiego, niemniej znamy instytucje, które są jeszcze w trudniejszej sytuacji (np. MBL ma zwierzchnie władze w Warszawie i Rzeszowie, samo jest w Sanoku, a zleceniobiorcę ma w Jarosławiu i Lublinie).

W świetle danych uzyskanych z ostatnich sprawozdań zamieszczonych w „Biuletynie Informacyjnym PKZ" wcale zaś nie wynika, żeby Rzeszowszczyzna miała pełnić rolę przysłowiowego Kopciuszka (chodzi o moc przerobową PKZ Jarosław). Jak wynika z danych za rok 1968, których tu z braku miejsca nie przytaczam, 11 milionów przerobu dla Rzeszowszczyzny, o których wspomina autor stawia nasze województwo na jednym z pierwszych miejsc, jeżeli chodzi o możliwości przerobowe, choć na pewno trzeba się zgodzić z faktem, że potrzeby w tym wypadku są na pewno znacznie większe.

Równocześnie w swej polemicznej argumentacji autor artykułu posuwa się tak daleko, że zapomina o tym, iż na terenie kraju istnieje szereg placówek naukowych, zakładów i instytucji zajmujących się od lat (często z konieczności) zagadnieniami konserwacji drewna zabytkowego. Wymienić tutaj należy: SGGW — Zakład Fitopatologii i Konserwacji Drewna w Warszawie, Instytut Technologii Drewna w Poznaniu, szereg laboratoriów przy muzeach (Łódź, Toruń, Kraków, Sanok), Zespół Chemii ZZG „INCO" — Dział Instruktażu Terenowego, który ma opiekę nad kilkoma muzeami skansenowskimi w kraju, oraz wiele innych. Dlatego co najmniej przedwczesna jest informacja o mającym powstać od 1 stycznia 1970 roku przy jarosławskiej placówce „jedynym w kraju, głównym laboratorium konserwacji drewna zabytkowego, które oczywiście obejmie swym zasięgiem całą Polskę i będzie jednoznacznym dowodem wysokich umiejętności tamtejszych specjalistów".

Na pewno należałoby życzyć dobrze sprawom ochrony zabytków i konserwacji drewna, aby na terenie kraju powstała jeszcze jedna silna, samodzielna placówka obejmująca całokształt problemów związanych z konserwacją drewna. Jeżeli to będzie w Jarosławiu, tym lepiej dla województwa rzeszowskiego. Jednakże podawanie różnych nieprawdziwych informacji w artykule informującym szerokie kręgi społeczeństwa o pracy i działalności PKZ, zamierzeniach na przyszłość itp. nie powinno mieć miejsca.

ANNA KISIELEWSKA

DOMOWINA WYDAJE KSIĄŻKI

(Ciąg dalszy ze str. 5)

darz niedawno bawił w Polsce i ciągle serdecznie wspominał pobyt w naszym kraju.

Z przyjemnością porównywałem pierwsze książki Domowiny z ostatnimi, które mają niezwykle estetyczny wygląd. Praca wydawnictwa nie jest ani łatwa, ani prosta. Przede wszystkim należy podkreślić fakt, że książki ukazują się w trzech językach: górnołużyckim, dolnołużyckim i niemieckim. Te ostatnie propagują literaturę Serbołużyczan w społeczeństwie NRD. W ubiegłym roku wydawnictwo obchodziło 10-lecie swego istnienia i z tej okazji dokonało bilansu swych osiągnięć. Bilans to niebagatelny. Ponad 900 pozycji, w tym wiele powieści, zbiorków poetyckich, książek dla dzieci, folderów i wreszcie podręczników.

Bodaj właśnie podręczniki stanowią największą pozycję wydawnictwa. Rozwój szkolnictwa serbołużyckiego pociągnął za sobą automatycznie ogromne zapotrzebowanie na pomoce naukowe. Aby szkolnictwo nie stało się fikcją, trzeba było natychmiast przystąpić do przygotowania i wydrukowania wielu tysięcy książek, wśród nich nawet podręczników matematyki. Wiele spośród tych podręczników miałem możność obejrzeć. Odznaczają się one przejrzystą treścią i bardzo estetyczną formą.

Wydawnictwo propaguje też literaturę polską. Nie ma tu wprawdzie największych osiągnięć, bo w języku górnołużyckim przygotowało do druku jedynie „Hrabinę Cosel" Kraszewskiego, „Za chlebem" Sienkiewicza i „Ostatnie salwy" Kotowicza, ale jednocześnie w języku niemieckim wydało interesującą pracę na temat naszych ziem odzyskanych („Jenseits von Oder und Neisse"), która szybko zniknęła z półek księgarskich. Właśnie autorem tej książki był mój rozmówca, tow. Ben Budar, który dłuższy czas przebywał w województwach zachodnich zbierając materiał do swojej pracy. Spełniła ona poważną rolę w przybliżeniu społeczeństwu NRD współczesnej problematyki Polski i pokazała, jak wielkie osiągnięcia mamy w zagospodarowaniu ziem nad Odrą i Nysą.

Z literatury pięknej największą poczytnością cieszy się Jurij Brezan, który w Domowinie wydał aż 20 książek. Później miałem możność przeprowadzić z tym pisarzem dłuższą rozmowę. Dowiedziałem się wówczas, że Brezan pracuje obecnie nad wielką epopeją łużycką, w której ma zamiar zawrzeć trzy problemy. Umownie nazwał je: walka o wolność, problemy samej wolności i walka o przyszłość.

Brezan swobodnie pisze w języku górnołużyckim, jak i w niemieckim. Sam też przeważnie tłumaczy własne książki — jeśli powstały one w języku łużyckim — na język niemiecki. Jest dwukrotnym laureatem Nagrody Państwowej, należy też do Niemieckiej Akademii Sztuk Pięknych.

Drugim pisarzem, który wiele opowiadał mi o swej pracy, był Anton Nawka. W swej powieści „Pod opaczną łopatą" oraz „Pod opacznym karabinem" przedstawił on łużyckie pokolenie studenckie, którego uświadomienie narodowe kształtowało się w proteście przeciwko reżimowi hitlerowskiemu. Ci młodzi ludzie szukali kontaktów z Polakami, a później, w czasie wojny, czynili wszystko, aby nie przyczynić się do sukcesów III Rzeszy.

Anton Nawka jest również tłumaczem z literatury francuskiej, rosyjskiej, angielskiej, a także polskiej. On m. in. przełożył „Moralność pani Dulskiej", która wystawiono w serbskim zespole teatralnym.

Ale o tym — znów za tydzień.

MAREK ADAM JAWORSKI

PRZEWORSKIE ARKADY

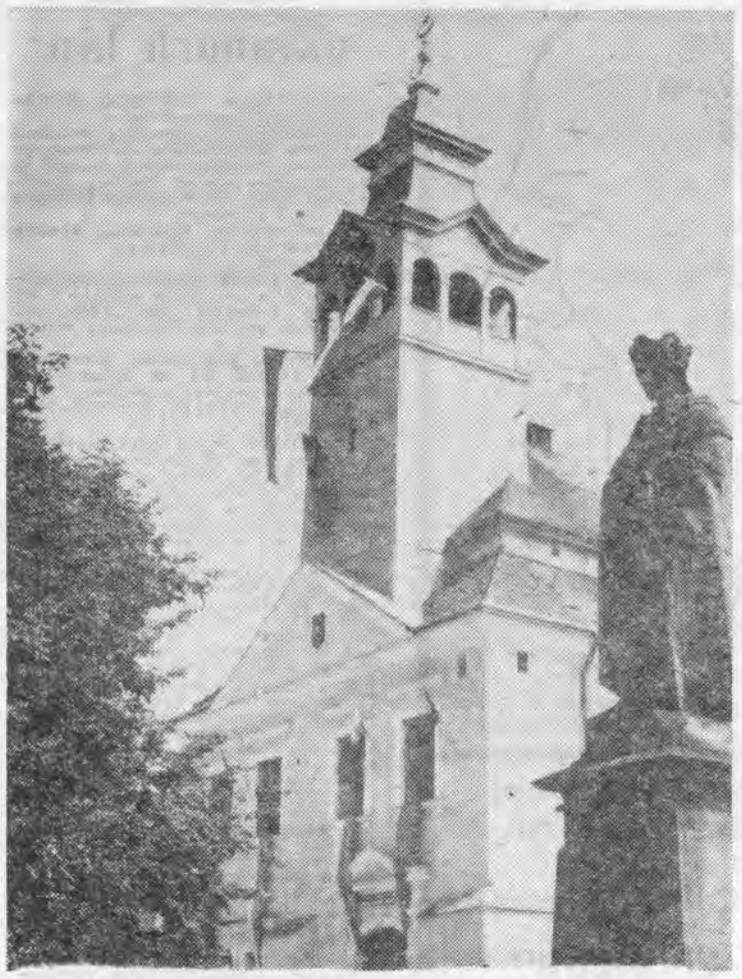

Fot. D. KWIATKOWSKI

Pragnę przedstawić pewne fragmenty kultury materialnej starego Przeworska. Myślę, że może to mieć znaczenie choćby dla turystyki i krajoznawstwa, a także znaczenie wychowawcze. Wybrałem tym razem arkady. Na te szczegóły architektury mało zwraca się uwagi, ale w poprzednich wiekach począwszy od XVI, a jeszcze na początku XX wieku istniały w Przeworsku budowle, jak na przykład Sądów Grodzkich i Ziemskich — budynek renesansowy przy ul. Krakowskiej z pięknymi podcieniami. Obiekt ten wadził hitlerowcom jako wyraz kultury polskiej, przecież zależało im na jej niszczeniu. Ówczesny burmistrz okupacyjny znalazł pretekst do zburzenia go, gdyż istotnie budynek ten powodował wąskie gardło prowadzące do rynku. Ulica Krakowska w tym miejscu miała zaledwie 2,5 m szerokości, a po zamurowaniu arkadowych podcieni przejście dla pieszych było bardzo utrudnione. Zamurowanie arkad nastąpiło jeszcze za rządów cesarza Józefa. W ten sposób uzyskano pomieszczenia magazynowe, areszty i sklep narożny. Pamiętamy tam skład materiałów piśmiennych i książek, który prowadził Żyd Mendel. W owym czasie także w innych miastach jak Zamość, Przemyśl, Kraków zamurowywano podcienia, które dopiero w Polsce odrodzonej zostały odkryte. Przeworsk jednak był w tym nieszczęśliwym położeniu, że stracił zabytkowy budynek. W miejscu tym Składnica Kółek Rolniczych wybudowała budynek obecnie mieszczący KP PZPR i PZGS.

Przy renowacji tynków ratusza odsłonięte zostały łuki arkad od strony dużego rynku. Dalsza przebudowa ratusza doprowadziła do jego obecnego wyglądu, który sygnalizuje niejako Przeworsk stary i wprowadza w nowe czasy. Niemniej budowniczy wieży ratuszowej wykorzystał element arkadowy bardzo udatnie pod hełmem wieży. Na zgrabnych kolumienkach rozmieścił arkadowe łuki. Z prześwitów rozciąga się tu wspaniały widok na cztery strony świata. Stąd rozlegał się hejnał przeworski, powtórzony z okazji jubileuszu 700-lecia miasta w 1961 r.

Jedynym w swoim rodzaju zabytkiem była glorieta bożnicy stylu barokowego. Była ona obiektem malarskim wielu malarzy i grafików. Całość bardzo udana, świadczyła o dużym smaku architekta. Niestety i ten zabytek runął na rozkaz hitlerowców zburzony wraz z bożnicą.

A teraz parę słów o pozostałych arkadach, których na co dzień nie ogląda się, a nawet często sami przeworszczanie o nich nie wiedzą. Do takich należą arkady wirydarza w klasztorze Bernardynów, który jest piękną ozdobą całego kompleksu zabytkowego klasztoru. Oprócz tego arkadowe elementy są widoczne w murach stanowiących kompleks budynków fary i w murach miasta. Arkady te zostały zamurowane, a kiedyś zamykały je ozdobne kraty kowalskiej roboty. Zachowały się również w całej krasie arkadowe prześwity w bramie głównej i bocznych prowadzących na dziedziniec kościoła farnego i arkady dźwigające pomost pomiędzy klasztornym budynkiem a prezbiterium fary — dawniejszego klasztoru i kościoła Miechowitów. Obiekt ten niezołowicie odnowiony niezwykłym nakładem pracy został doprowadzony do stanu użytkowego.

HENRYK JANKOWSKI

Kartki dla Ewy

Praktyka

Studenckie praktyki robotnicze spowodowały mnóstwo wrzawy. Ludzie chwalą je i ganią, dyskutują zawzięcie ile też pożytku przyniesie praca tej „siły roboczej" wyrwanej z uczelnianych ławek.

Słychać protesty, że młodzież zmęczona nauką nie powinna parać się czymś, po czym rosną bąble na rękach i w krzyżach strzyka. W przyszłości będą z nich lekarze, inżynierowie, prawnicy zarabiający na chleb pracą mózgu, póki więc czas trzeba hasać na zielonej trawce.

Rodzice ubolewają, że ich synowie i córki pracują przez miesiąc w fatalnych warunkach. Są wyzyskiwani przez instytucje zatrudniające brygady studenckie do najczarniejszej roboty, na którą szanujący się robotnik nawet nie spojrzy. Mieszkają w podłych warunkach: brak wody, światła, urządzeń sanitarnych. Jedzenie dziadowskie, żadnych rozrywek kulturalnych — słowem, kompletne dno, na które skazano biednych studenciaków.

Jak zwykle prawda leży pośrodku, trzeba ją tylko znaleźć i przekonać się, że nie jest tak tragiczna jak wieść niesie. Zrozumiałe, iż nie wszystkie praktyki zostały dobrze zorganizowane. Stwierdzono braki w zaopatrzeniu, szczególnie w dostawach jarzyn i owoców. Kwatery bywały niezbyt wygodne, jedzenie prymitywne, ale wynikło to z braku przygotowania do takiej akcji, która przeprowadzono po raz pierwszy. Każda nowa rzecz wymaga opracowania, praktyki studenckie tak samo. Wnioski wyciągnięte po tegorocznym sezonie pozwolą w przyszłości uniknąć wielu błędów i zorganizować te praktyki tak, by nie budziły zastrzeżeń. Chodzi oczywiście tylko o sprawy bytowe, gdyż sama kwestia miesięcznej pracy nie powinna podlegać dyskusji.

Nikt nie zamierza pędzić młodzieży do pracy fizycznej ponad siły. Nie chodzi też o efekty ekonomiczne, choć wszystko lubimy przeliczać na brzęczącą monetę.

Sprawą znacznie ważniejszą jest pokazanie pewnej warstwie młodzieży kształcącej się w doskonałych warunkach, jaka jest Polska poza murami uczelni. Olbrzymi wzrost techniki, mechanizacja, automatyzacja wielu dziedzin pracy jeszcze nas mimo wszystko nie uwolniły od szarego trudu. I ten szary trud jest udziałem wielu ludzi.

Praca fizyczna nie przynosi ujmy wykształconym głowom. Nie będę przytaczać nazwisk ludzi sławnych, którzy w wysiłku mięśni znajdowali odpoczynek dla umysłu. Są to sprawy zupełnie oczywiste, dostępne w biografiach. Może warto zainteresować się nimi, by zrozumieć, że niemożliwe jest dzisiaj istnienie człowieka nie ceniącego pracy drugich, choćby polegała ona wyłącznie na kopaniu rowów.

Stwierdzenie — myśmy harowali dosyć, oni nie muszą — jest tak krótkowzroczne, że może nas boleśnie ugodzić w najczulszy punkt. Ojciec drwal nie zyska szacunku u syna, jeśli nie nauczy chłopca trzymać siekiery w dłoni. Trudno nam zrozumieć to, chcemy usunąć każdą przeszkodę, każdą trudność z życia, a życie przecież młodych oszczędzać nie będzie, bo nie jest aksamitne.

Tak więc ten miesiąc trudów, dla niejednego z pewnością ciężki jest w jakimś sensie egzaminem. Egzaminem z umiejętności przełamania samego siebie. Trzeba z bliska spojrzeć na sprawy innych ludzi, by zrozumieć wiele odległych zagadnień. A poznanie będzie tym dokładniejsze, im bliższy będzie kontakt z innym środowiskiem.

Niech młodzi ludzie wiedzą, że nowy dom w którym mieszkają, chleb na stole, ubranie w szafie, książka na półce, samochód w garażu, most nad rzeką, transatlantyk i odrzutowiec nie są zaczarowaną sprawą krasnoludków. Wszystko stworzyli ludzie wspólnym wysiłkiem mięśni i mózgów.

BEGA

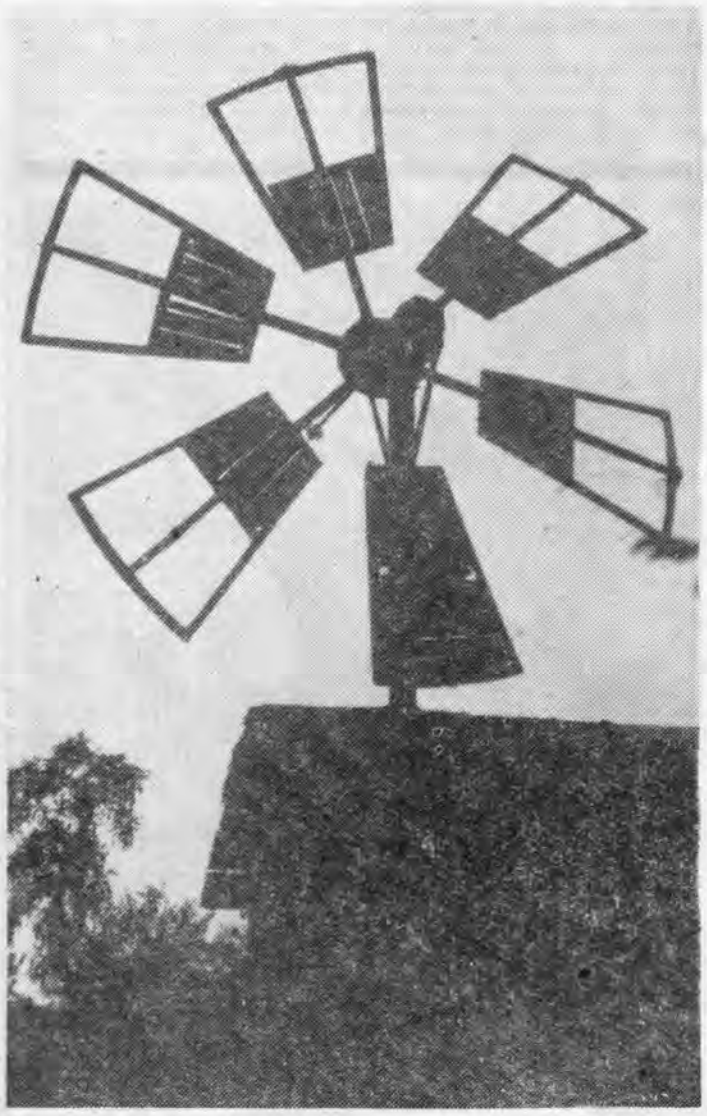

WIATRAK Fot. M. KOPEC

KSIĄŻKI

Jerzy Bronisławski: ZANIM PRZYJDĄ O ŚWICIE. Iskry, s. 340, cena zł 20 (30 tys.).

Nie jest to tylko jeszcze jedna pozycja o wywiadzie i kontrwywiadzie z całą związaną z tym romantyką, ale zarazem analiza niektórych metod działania zachodnioniemieckiego i amerykańskiego wywiadu, kierunek ich nastawienia. Jedno ze zdań epilogu brzmi: „PRL nie była i nie jest w stanie wojny z USA. Wojna ta jednak toczy się. Prowadzona jest każdego dnia. Szczęście dla nas, Polaków, że nie jest to wojna taka, jak na tragicznej ziemi wietnamskiej. Nie zapominajmy, że wywiad USA jest zwiastunem agresji". Czyta się jak Klossa.

Tadeusz Zimecki: DEMOSTENES 43. MON, s. 172, cena zł 9 (7 tys.).

Sam Autor twierdzi, że tych dziewięć reportaży retrospektywnych nazywa nieskromnie opowiadaniami. Sporo w tym jednak beletrystyki. Tematyka wojenna. Autor miał w chwili wybuchu wojny 11 lat. O swoich i rówieśników przewagach wojennych.

Józefa Radzymińska: RÓŻE Z OGNIA. MON, s. 168, cena zł 9 (10 tys.).

Autorka brała udział w powstaniu warszawskim. Wtedy debiutowała tomikiem wierszy. Swą szóstą z kolei powieść poświęca miłości i walce w tych tragicznych dniach. Trochę i o współczesności.

Franciszek Bernaś, Julitta Mikulską-Bernaś: ZAMACH NA HITLERA. KiW, s. 288, cena zł 10 (50 tys.).

W serii „Światowida" książka, która w sposób popularny, interesujący przedstawia historię panowania Hitlera. Oczywiście na tle epoki. Potrzebna, szczególnie młodym, pozycja.

Stefan Król: CYTADELA WARSZAWSKA. X Pawilon — carskie więzienie polityczne (1853—1856). KiW, s. 312, cena zł 50 (5 tys.).

Ta pozycja zajmuje się nie tylko obiektem Cytadeli jako fortyfikacją, ale także formami i metodami carskiej polityki represyjnej, działalnością Komisji Śledczej itp.

Arkady Fiedler: DZIĘKUJĘ CI, KAPITANIE. MON, s. 224, cena zł 14 (30 tys.).

Siódme powojenne, a dziewiąte w ogóle wydanie książki mówiącej o walce polskich marynarzy na wszystkich morzach świata w okresie drugiej wojny światowej. W miesiącu pamięci narodowej przypomnienie kawałka naszej historii.

Arkady Fiedler: NOWA PRZYGODA: GWINEA, Iskry, s. 264, cena zł 35 (50 tys.). Wyd. III.

Kolejne wznowienie opowieści o nowym państwie, które wyzwoliło się spod panowania Francuzów. O obyczajach, zwyczajach, życiu codziennym nie całkiem jeszcze cywilizowanych plemion.

Douglas Lockwood: JA, AUSTRALIJCZYK. Przeł. Z. Sroczyńska. Iskry, s. 308, cena zł 20.

W serii „Naokoło świata" historia życia Australijczyka, który przeszedł plemienne wtajemniczenia, żył wśród swoich, tzn. w stanie dzikości, potem poznał białych, został sanitariuszem. Ciekawa pozycja.

Stanisław Łukasiewicz: KRAINA SZCZĘŚLIWYCH LAT. KiW, s. 492, cena 50 zł (7,5 tys.).

Po kilku zbiorach nowel realistycznych z życia wsi przedwojennej, kilku powieściach, głównie z okresu okupacji, powieść z życia oficjalistów dworskich. A więc powrót w świat dzieciństwa i młodych lat. O świecie który już nie wróci.

Hermann Kesten: FERDYNAND I IZABELA. Zwycięstwo demonów. Przeł. M. Wisłowska, PIW, s. 368, cena zł 22 (20 tys.).

Jest to druga część cyklu hiszpańskich powieści niemieckiego pisarza. Sygnalizowałem niedawno w tym miejscu część pierwszą. Nosiła ona tytuł „Maur z Kastylii". Ostatnia część trylogii powinna być na rynku księgarskim w końcu br. Jej tytuł „Król Filip II. Przełom XV i XVI wieku.

Witold Marciszewski: SZTUKA DYSKUTOWANIA. Iskry, s. 280, cena zł 15 (6 tys.).

Cytuję ze „skrzydełka": „Jedne dyskusje działają jak środek nasenny, inne rozpalają namiętności. Są otępiające i są takie, które wyzwalają twórczość. Od czego to zależy? Od pogody? Od ilości wypitej kawy? Od temperamentu uczestników? Zapewne. Ale może i od problemów rodzaju, od sposobu ich stawiania, od metod rozwiązywania". W kraju, gdzie dyskusja nie zawsze przynosi pożądane efekty, książka może służyć jako podręcznik.

Leon Pasternak: WYBÓR WIERSZY. PIW, s. 284, cena zł 24 (1500 egz.)

Jadwiga Tyrankiewicz: BIEG PRZEZ WYOBRAŹNIĘ. Wyd. Poznańskie, s. 138, cena zł 10. (800 egz.). Wiersze.

PIEŚŃ O KRAJU. Wybór i opracowanie Ryszarda Hanin i Andrzej W. Piotrowski. Oprac. Muzyczne Emil Sojka. Iskry s. 172, cena zł 14 (5 tys.).

Przygotowane na 25-lecie Polski Ludowej. Druk ukończono w czerwcu 1969.

Józefina Slapińska: NIE BAĆ SIĘ, ALE WYSTRZEGAĆ GRUŹLICY. PZWL, s. 76, cena zł 7. Wyd. IV popr. i uzup. (30 tys.).

ŚLĄSKA KRONIKA TEATRALNA. 1914—1922. Wyd. Literackie, s. 472, cena zł 60 (1 tys. egz.).

Przed nowym sezonem teatralnym

Teatry wrocławskie

Miniony sezon teatralny był bardzo udany dla Teatru Polskiego we Wrocławiu. W sezonie 1968—1969 roku odbyło się na dwóch scenach wrocławskiego Teatru Polskiego łącznie 11 premier, w tym cieszące się uznaniem „Rzecz listopadowa" — Ernesta Brylla, grana tu po raz pierwszy w Polsce, „Fantazy" — Juliusza Słowackiego oraz „Protesilas i Laodamia" — St. Wyspiańskiego w reżyserii Henryka Tomaszewskiego.

Nowy sezon na dużej scenie Teatru Polskiego we Wrocławiu otworzy „Burza" — Szekspira w reżyserii Krystyny Skuszanki. Potem wystawiona będzie sztuka Wojciecha Bogusławskiego — „Henryk VI na łowach" a następnie „Thermidor" w reżyserii Jerzego Krasowskiego. Będzie to prapremiera nieznanej sztuki Stanisławy Przybyszewskiej, kontynuującej problematykę „Sprawy Dantona", którą to sztukę tutejszy Teatr Polski wystawił w roku 1967.

W pierwszych dniach maja 1970 r., w 25-lecie powrotu Wrocławia do Polski, odbędzie się premiera „Pierwszego dnia wolności" — Leona Kruczkowskiego lub nowej pozycji, nagrodzonej w konkursie wrocławskim na sztukę współczesną.

Na scenie kameralnej sezon otworzą dwie prapremiery polskie, a to „Medea z Mbongo" — Willi Kyrklunda w reżyserii Marii Straszewskiej oraz „Księżniczka na opak wywrócona" — Calderona w reżyserii Włodzimierza Hermana. Wystawiony też zostanie montaż dokumentalny — widowisko przygotowane dla uczczenia 100 rocznicy urodzin Włodzimierza Lenina.

Warto podkreślić, że kierownictwo Teatru Polskiego we Wrocławiu dąży do stworzenia stałego repertuaru na swej dużej scenie, mając na względzie ciągłość stylu i trwałość dorobku artystycznego. Z tej racji w sezonie 1969—1970 przewiduje się wznowienie 6 przedstawień, granych tu w ciągu ubiegłych lat.

Teatry śląskie

Wiele nowych interesujących pozycji repertuarowych — zarówno klasycznych jak i współczesnych — przygotowały na nowy sezon teatralny czołowe sceny woj. katowickiego.

Bywalcy Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach zobaczą m. in. „Kram z piosenkami" Leona Schillera, „Moralność Pani Dulskiej" Gabrieli Zapolskiej, „Rzecz listopadową" Ernesta Brylla w reżyserii i scenografii Józefa Szajny, „Zmartwychwstanie" według Lwa Tołstoja w adaptacji i reżyserii Lidii Zamkow oraz „Legion" Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Jerzego Kreczmara. Wśród spektakli premierowych trzeba wymienić m. in. „Najszczęśliwszych trzech" E. Labisza oraz „W naszym domu straszy" J. Dworzeckiej.

Teatr Nowy w Zabrzu, obchodzący w trzeciej dekadzie bm. jubileusz swego 10-lecia, zaprezentuje publiczności widowisko muzyczne „Dziś do ciebie przyjść nie mogę" Lecha Budreckiego i Ireneusza Kanickiego, a także „Wyzwolenie" Stanisława Wyspiańskiego, „Ludzie bezdomni" Stefana Żeromskiego i „Świętoszka" Moliera. Z premier natomiast — „I koń się potknie" Aleksandra Ostrowskiego oraz „Popas króla jegomości" Adama Grzymały-Siedleckiego.

W bogatym i różnorodnym repertuarze teatru Zagłębia w Sosnowcu znajdą się takie pozycje, jak „Majster i czeladnik" — Józefa Korzeniowskiego, „Makbet" Szekspira, „Sułkowski" — Żeromskiego, słynna komedia radzieckich autorów Ilfa i Pietrowa „12 krzeseł". Spośród spektakli premierowych tej placówki warto zasygnalizować „Ludzi w mundurach" — Zdzisława Skowrońskiego oraz „Człowieka z budki suflera" — Tadeusza Rittnera.

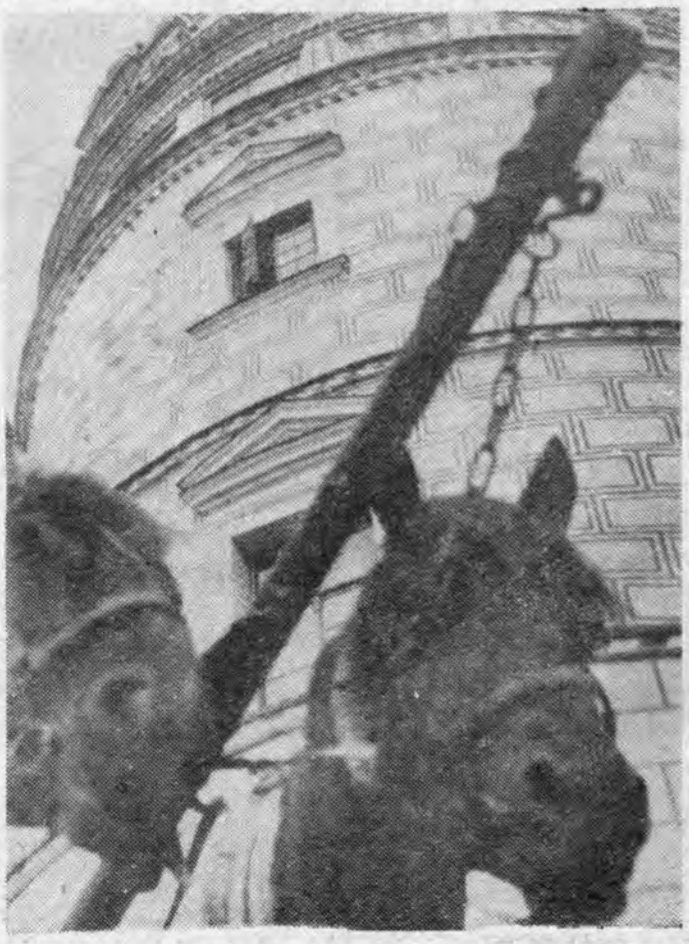

Konie i... baszta w Krasiczynie. *Fot. R. BILSKI*

Mgr HENRYK PASŁAWSKI — naczelny redaktor „Nowin Rzeszowskich". *Rys. J. SIENKIEWICZ*

Teatr im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie zaprasza na przedstawienie sztuki MARIANA ŁOHUTKI

„ODPOCZNIESZ W BIEGU"

Na otwarcie sezonu 1969/70 rzeszowski teatr przygotował prapremierę polską współczesnej sztuki młodego, utalentowanego autora, który odniósł już swój pierwszy sukces literacki, uzyskując zaszczytne wyróżnienie w tegorocznym Konkursie Dramaturgicznym Ministerstwa Kultury i Sztuki organizowanym w rocznicę 25-lecia PRL za „Odpoczniesz w biegu". Utwór ten ukazuje ważną problematykę naszych czasów, śmiało rysuje konflikty, sięga po żywo obchodzące nasze społeczeństwo tematy. Stanowi niejako konfrontację między przeszłością i teraźniejszością. Jak w soczewce skupiły się w losach jednej rodziny zagadnienia społeczne, moralne i obyczajowe. Debiutujący autor wykazał tu bystrość obserwacji, trafność sądów, potrafił też nawiązać do osiągnięć sztuki dramatycznej dwudziestego stulecia, zachowując jednocześnie świeżość i oryginalność własnych pomysłów. „Odpoczniesz w biegu" to utwór refleksyjny, wprowadzający czasami poetycką atmosferę, a przecież nie pozbawiony efektownych kontrastów, jakie stwarza groteskowy komizm niektórych sytuacji i satyryczne potraktowanie wielu postaci. Pozycja ta nie tylko inauguruje nowy sezon teatralny, lecz wchodzi również do programu uroczystości Dwudziestolecia „Nowin Rzeszowskich".

W sztuce udział biorą: Teresa Ujazdowska, Irena Żuromska, Jan Adamski, Stanisław Bieliński, Franciszek Buratowski, Henryk Gońda, Józef Jachowicz, Bogdan Kiziukiewicz, Antoni Kossowski, Wacław Rybczyński. Reżyseria: Stanisław Bieliński, scenografia Irena Perkowska, asystent reżysera Teresa Ujazdowska.

W najbliższym czasie na ekranach kin

„CIERPIENIA MŁODEGO BOGACZA" (tytuł tymczasowy).

Czechosłowacka komedia reżyserii Frantiska Filipa. Perypetie młodego wieśniaka, którego matka usiłuje za wszelką cenę ożenić. Twórcy wykorzystali temat do wykpienia ludzkich przywar i słabostek.

W roli głównej kapitalną kreację stwarza Pavel Landovsky.

„DOKTOR GLAS"

Duński dramat psychologiczny zrealizowany przez głośną aktorkę i reżyserkę szwedzką Mai Zetterling. Adaptacja powieści Hjalmara Söderberga.

Bohaterem jest lekarz, który nie może uwolnić się od wspomnienia zbrodni popełnionej z miłości.

W rolach głównych: Per Oscarsson i Lone Hertz.

„ZABÓJCY" (tytuł tymczasowy)

Barwny film na motywach sławnej noweli Ernesta Hemingwaya. Dwaj zawodowi zabójcy ścigają człowieka, zamieszanego w „skok" bandy gangsterów na duży bank. Interesujące studium psychologiczne postaw prześladowców i ich ofiary.

Reżyseria: Donald Siegel.

W rolach głównych: Lee Marvin, Angie Dickinson i inni.

„DZIELNY ZWIADOWCA" (tytuł tymczasowy).

Szerokoekranowy film wojenny produkcji radzieckiej.

Przygody kilkunastoletniego chłopca, który uciekł z domu i po wielu perypetiach został przyjęty do oddziału zwiadowców: jego spryt i odwaga przydały się w walce przeciwko hitlerowcom.

Reżyseria: Lew Mirski.

„OPERACJA BELGRAD" (tytuł tymczasowy)

Szerokoekranowy film jugosłowiański.

Akcja rozgrywa się w 1943 r. Grupa partyzantów ma odbić aresztowanego przez gestapo radzieckiego oficera.

W rolach głównych: Dusan Bulajic i inni.

„SZCZĘŚLIWY ALEKSANDER"

Komedia francuska, którą zrealizował Yves Robert wg swej własnej powieści.

Bohaterem jest mężczyzna w sile wieku, dla którego rzecza najważniejsza na świecie jest... sen.

Postępowanie wiecznego śpiocha doprowadza do szeregu konfliktów rodzinnych i bulwersuje opinię publiczną miasteczka.

„13 DNI WE FRANCJI"

Barwny reportaż z ubiegłorocznych zimowych igrzysk olimpijskich w Grenoble, zrealizowany przez Claude Lelouchа („Kobieta i mężczyzna", „Żyć aby żyć") i Francois Reichenbacha („Ameryka oczyma Francuza").

Autorzy starają się odtworzyć na ekranie jedyną w swoim rodzaju atmosferę tamtych dni, a znakomite zdjęcia oddają piękno i wdzięk zimowych konkurencji sportowych.

„WINNETOU I APANACZI"

Nowe przygody popularnych bohaterów powieści Karola Maya. Tym razem Winnetou i Old Shatterhand pomagają pięknej metysce Apanaczi odzyskać posag w postaci bogatej żyły złota i zwalczają bandę rzezimieszków, czyhających na skarb.

Reżyseria: Harald Philipp.

„POLOWANIE NA MĘŻCZYZNĘ"

Komedia produkcji francusko-włoskiej.

Przygody trzech przyjaciół, z których jeden pragnie się ożenić, a pozostali starają się przeszkodzić mu w popełnieniu tego nierozważnego, ich zdaniem, kroku.

W roli głównej: Jean Paul Belmondo.

J. Ł.

WOJENNE LOSY POLSKIEJ KSIĄŻKI

Jeszcze w tym roku w PIW-owskiej „Bibliotece Syrenki" wyjdzie praca Stanisława Pazyry — „Z dziejów książki polskiej w czasie II wojny światowej". Będzie ona oparta na własnych wspomnieniach autora, który w czasie okupacji był przewodniczącym tajnej Naczelnej Rady Księgarstwa Polskiego oraz na materiałach źródłowych. Praca przedstawia niemal nieznaną kartę dziejów walki z hitlerowskim okupantem w obronie kultury polskiej.

— Nikomu nie trzeba przypominać o zamierzeniach hitlerowców w stosunku do narodu polskiego. Niemcy zaciekle niszczyli polską książkę na ziemiach wcielonych do Rzeszy; zakazywali wydawania i rozpowszechniania wielu tytułów w tzw. Generalnej Guberni. Mimo zakazów i terroru książka polska żyła — podręczniki trafiały do rąk młodzieży, dzieła o nieprzemijającej wartości były nadal czytane, ukazywały się nowe tytuły.

W swojej pracy — mówi S. Pazyra — przedstawiam ludzi, którzy, nie mniej bohatersko niż żołnierze podziemia, walczyli z wrogiem, z narażeniem życia ratując polskie książki przed zniszczeniem i udostępniając je społeczeństwu.

Książka pełna jest mało znanych faktów. Przypominam m. in. jak polscy księgarze wywieźli z Poznania około 20 wagonów książek do Generalnej Guberni, jak wysyłali — pod węglem w lokomotywie — paczki z książkami Polakom pozostającym na ziemiach wcielonych do Rzeszy. Opisuję też fakt przesłania zupełnie legalną drogą do Berlina zakazanej wtedy książki „Kamienie na szaniec". Przedstawiam także dość szeroko prowadzoną działalność wydawniczą m. in. „Ossolineum", które wydawało podręczniki oraz instytucji działającej pod kryptonimem „Załoga", której zawdzięczamy pierwsze polskie wydanie „Dywizjonu 303" Arkadego Fiedlera, a także wielu osób zajmujących się z własnej inicjatywy działalnością wydawniczą. Opisuję też inne akcje — pomoc dla autorów — naukowców i literatów, księgarzy, jeńców wojennych, współpracę z żołnierzami podziemia, działalność szkoleniową, kulturalną, społeczną, organizacyjną.

Relacje moje nie ograniczają się do tego, co działo się w Polsce. W osobnym rozdziale przedstawiam polską działalność wydawniczą na obczyźnie. Książka polska ukazywała się przecież w czasie II wojny światowej wszędzie tam, gdzie byli Polacy — w Moskwie i Rzymie, w Londynie i Paryżu, w Edynburgu, Glasgow i w Budapeszcie, na Bliskim, Środkowym i Dalekim Wschodzie, w Genewie i w Nowym Jorku.

Całość zamyka niepełna lista osób, które w walce o polską książkę dotknięte zostały hitlerowskim terrorem.

Swoją pracę uważam za zapoczątkowanie akcji zbierania materiałów o pełnych dziejach polskiej książki w czasie II wojny światowej.